

Powiat



Nr 1-2 (228-229), Styczeń-Luty 2020

Rok XX * ISSN 1730-7686

facebook.com/morskipowiatslupski

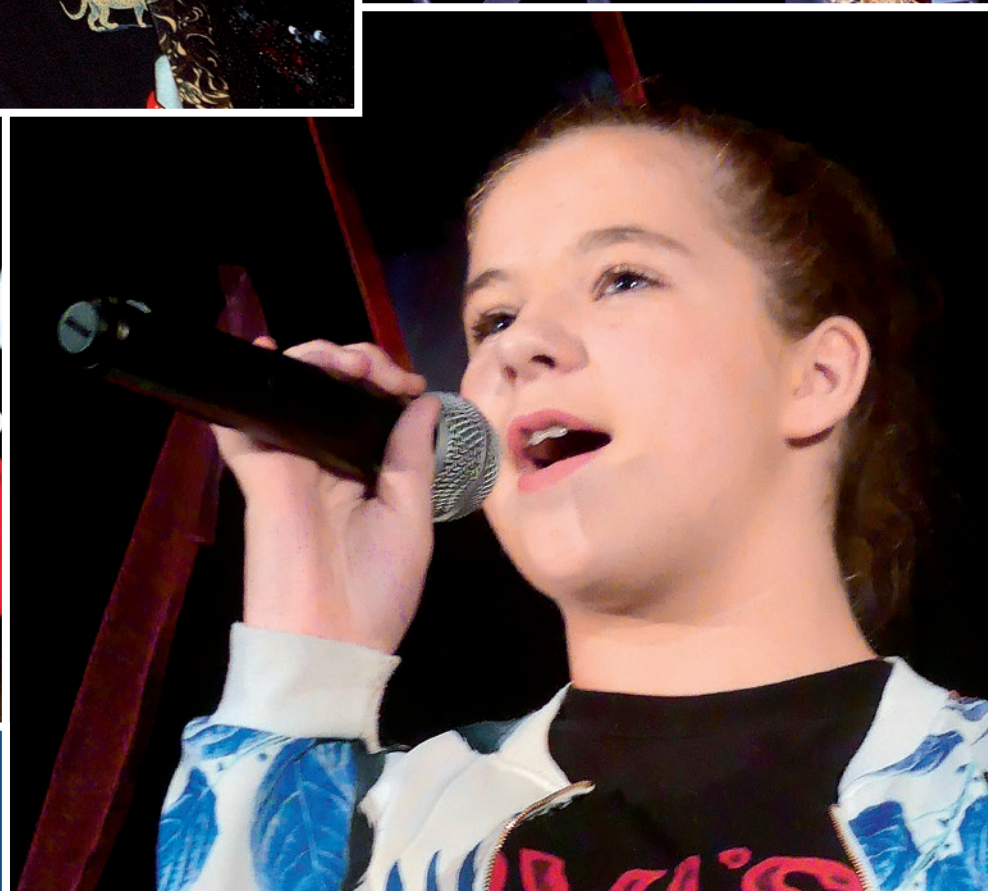
SŁUPSKI



Politykom puszczaają nerwy

Pod nowym ministerstwem
Dobre mam teraz życie
Dziadek Tadek i Bałtyk
Teatr, w którym warto bywać

Majorka – wyspa słońca
Góra go pokonała
Trzech Króli i narodziny córki...
Wieś Tworząca



WIELKA ORKIESTRA ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

DAMNICA, STYCZEŃ 2020



Fot. J. Maziejuk





PAWEŁ LISOWSKI
Starosta Słupski

Powiat

SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Na lutowym konwencie wójtów i burmistrzów dyskutowaliśmy z parlamentarzystami okręgu gdyńsko-słupskiego o głównych priorytetach ziemi słupskiej. Tak wielu parlamentarzystów dawno nie udało się zebrać w jednym miejscu. To dobrze, że przyjęli zaproszenie, chcieli rozmawiać o naszych problemach i deklarowali swoje wsparcie.

Rozmawialiśmy o budowie drogi ekspresowej S6, rozwoju linii kolejowej Gdynia-Słupsk, przebudowie drogi krajowej 21, rozbudo-

wie portu morskiego w Ustce, a także o wykorzystaniu rekompensat za tarczę antyrakietową w Redzikowie, które wiążą się m.in. z przebudową dróg powiatowych, by zapewnić lepsze skomunikowanie gmin.

Oczywiście, o przyszłości ziemi słupskiej decydować będą inne jeszcze kwestie, choćby rozwój gospodarki, w tym morskiej, edukacji, szkolnictwa wyższego, energetyki wiatrowej i cała sfera społeczna ze zdrowiem włącznie. To ostatnie, zwłaszcza ostatnio, w dobie wielu zagrożeń, wymaga szczególnego potraktowania.

Dlatego w konwencie udział wzięli również przedstawiciele Akademii Pomorskiej w Słupsku i Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego. Akademia Pomorska zainteresowana jest uruchamianiem nowych kierunków studiów. Są oczekiwania, by otworzyła studia lekarskie. Wydaje się to trudne, ale zapotrzebowanie na lekarzy na pewno jest.

Wojewódzki Szpital Specjalistyczny, po uruchomieniu niedawno Oddziału Hematologii i Transplantacji Szpiku, ma nowe ambitne plany.

Przystąpił do utworzenia wysokospecjalistycznego Ośrodka Rehabilitacji w Ustce i potrzebuje zdecydowanego wsparcia. W ogóle słupski szpital, z racji swego położenia i roli jaką odgrywa w regionie, powinien spotykać się z pełnym zrozumieniem swoich potrzeb. Wydaje się, że już tak jest, i to powinno cieszyć.

Niestety, nie wszystkie sprawy przedstawiają się optymistycznie. W bardzo trudnej sytuacji znalazł się Urząd Morski w Słupsku, i o nim również dyskutowaliśmy z parlamentarzystami.

W numerze:

- 2 Bezpieczeństwo i programy społeczne
- 2 Budżet na 2020 rok
- 3 Polityka senioralna
- 3 Konwent wójtów i burmistrzów
- 4 Badania profilaktyczne
- 4 Przeciw pneumokokom
- 4 Pomoc dla szpitala
- 5 Jubileusz uniwersytetu
- 5 Nagrodzona czytelniczka
- 6 Świat oszalał, a politykom puszczają nerwy...



Momentami nawet ma się wrażenie, że współczesny świat oszalał. Oszalał w aspektach dążeń do panowania nad nim, ale i w zakresie czerpania z jego zasobów oraz pazernego rozdrapywania jego dóbr naturalnych.

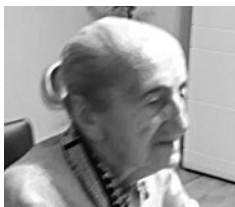
- 8 Nasze drzewo genealogiczne

- 10 Pod nowym ministerstwem



Zgodnie ze znaną zasadą „myśl globalnie, działaj lokalnie”, polska branża turystyczna musi tak przygotowywać ofertę, aby mogła jak najdłużej zatrzymać turystów.

- 11 Czas na regionalne produkty
- 12 Barwinek i Boiska Stare – przypomnienie
- 14 Dobre mam teraz życie



– A ja żyję i jestem zdrowa. Dobrze mi teraz. Córki ugotują, podadzą, pomogą mi się wykąpać,

bo trochę niesprawną jestem. Posprzątają. Dobre mam życie...

- 16 Polubiła tak van Gogha, że sama zaczęła malować
- 18 Czarny Anioł z wileńskiej Rosy
- 20 Dziadek Tadek i Bałtyk



– Stałem nad brzegiem morza. Nigdy nie widziałem takiej wody. Zanurzyłem dłoń i przyłożyłem do ust. Była stona.

- 21 Zrewitalizowane organy
 - 22 Teatr, w którym warto bywać
- Największym sukcesem o randze ogólnopolskiej było nagrodzenie na Festiwalu Szekspirowskim „Kupca weneckiego”.



- 24 „W matym dworku”

- 25 Trzech Króli i narodziny córki Katarzyny
- Od 13 grudnia 1981 roku minęło już trzydzieści osiem lat, a ja wciąż z trwogą wspominam tamten grudniowy dzień.



To miała być nowa Polska, ojczyzna wreszcie wolna i demokratyczna.

- 28 Majorka – wyspa słońca, jeden z cudów świata
- Sezon turystyczny trwa tu osiem pełnych miesięcy, od marca do końca października. Napływa

afrykańskie powietrze, są rzeźkie podmuchy czystej zasolonej bryzy morskiej...



- 31 Geniusz wszech czasów
- 34 Góra go pokonała...



W tym roku minęło 30 lat od śmierci Jerzego Kukuczki, światowej sławy polskiego himalaisty, który przeszedł do historii jak drugi człowiek na świecie – zdobywca czterech najwyższych szczytów na naszej planecie.

- 36 Klaudia Majorowa najlepszą trenerką Europy 2018
- 40 Marginalizacja Pomorza

Bezpieczeństwo i programy społeczne

Rada Powiatu Słupskiego na sesji 25 lutego przyjęła sprawozdanie z działalności Komendanta Miejskiego Policji oraz informację o stanie bezpieczeństwa publicznego w powiecie słupskim w 2019 roku, sprawozdanie Komendanta Miejskiego Państwowej Straży Pożarnej w Słupsku za 2019 rok oraz sprawozdanie Starosty Słupskiego z działalności Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego w roku 2019.

Rada Powiatu zapoznała się także z informacją o realizacji zadań wynikających z Powiatowego Programu Zapobiegania Przestępczości oraz Ochrony Bezpieczeństwa Obywateli i Porządku Publicznego w roku 2019. Podjęła kilka uchwał, w tym o współdziałaniu powiatu i utworzeniu partnerstwa dla wspólnej



Fot. powiat.słupsk.pl

realizacji projektów „Srebrna Sieć II” i „Rodzina w Centrum II”. Oba są kontynuacją projektów realizowanych już pod tymi nazwami i powiat będzie ubiegał się o środki na nie w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014-2020. W sumie o kilka milionów złotych.

Pierwszy dotyczy różnych form usług opiekuńczych

(sąsiedzkich, specjalistycznych, teleopieki) dla seniorów i ma być realizowany z gminami: Dębica Kaszubska, Główny, Kępnice, Słupsk, Smółdzino, Ustka oraz podmiotami spoza sektora finansów publicznych.

Drugi projekt ma być realizowany z gminą Kobylnica i również z podmiotami spoza sektora finansów publicznych

wyłonionych w konkursie, obejmuje wsparcie rodzin z problemami opiekuńczo-wychowawczymi w prawidłowym wypełnieniu ich ról, doskonalenie kompetencji osób sprawujących pieczę, wsparcie społeczne, zawodowe i edukacyjne dla wychowanków pieczy.

Rada Powiatu podjęła również uchwałę o udzieleniu dotacji celowej (35 tys. zł) Wojewódzkiemu Szpitalowi Specjalistycznemu im. Janusza Korczaka w Słupsku na zakup histeroskopy zabiegowego dla Oddziału Położniczo-Ginekologicznego, wykorzystywanego w profilaktyce chorób nowotworowych. Uchwaliła stawki opłat za zajęcie pasa drogowego dróg powiatowych oraz zgodziła na zawarcie przez powiat porozumienia ze Słupskiem na organizację publicznego transportu zbiorowego w powiatowych przewozach pasażerskich o charakterze użyteczności publicznej. (z)

Budżet na 2020 rok

Na 109 262 807 zł ustalono dochody budżetu powiatu na 2020 rok, w tym dochody bieżące na 94 510 150 zł i majątkowe na 13 236 817 zł. Wydatki ustalono na 118 793 862 zł, w tym bieżące na 89 478 324 zł, majątkowe na 29 315 538 zł, a deficyt ma wynieść 9 531 055 zł i będzie sfinansowany przychodami pochodzącymi z emisji obligacji – tak przedstawia się budżet powiatu słupskiego na 2020 rok.

Rada Powiatu Słupskiego uchwaliła budżet na 2020 rok na sesji 30 grudnia ub. roku. Na roczne zadania inwestycyjne (głównie drogowe, choć nie tylko) przeznaczono w nim ponad 29 mln zł (na zadania ujęte w wieloletniej prognozie finansowej prawie 19 mln zł). Utworzono rezerwę w wysokości 3 062 625 zł, w tym ogólną w wysokości ponad 388 tys.

i celową w wysokości ponad 2,6 mln zł. Ponad 1,2 mln zł zarezerwowano na wydatki bieżące, w tym 0,5 mln w oświacie i edukacji, 40 tys. na zadania zlecone organizacjom pozarządowym, ponad 0,5 mln na wypłatę odpraw emerytalnych dla pracowników jednostek organizacyjnych powiatu, 180 tys. na zarządzanie kryzysowe i 1,4 mln zł na zadania inwestycyjne.

Na dochody i wydatki złożą się dotacje celowe i wydatki związane z realizacją zadań z zakresu administracji rządowej i innych zleconych odrębnymi ustawami (5,1 mln zł), dotacje celowe i wydatki związane z realizacją zadań z zakresu administracji rządowej wykonywanych na podstawie porozumień z organami administracji rządowej (116 tys. zł), dochody związane z realizacją zadań wykonywanych na podstawie umów lub porozumień między jednostkami samorządu terytorialnego (11,8 mln zł) i wydatki związane z nimi (12,5 mln zł), dotacje podmiotowe udzielane z budżetu powiatu (367,5 tys. zł), dotacje celowe udzielane z budżetu



Fot. powiat.słupsk.pl

powiatu (4,4 mln zł) i dochody z tytułu korzystania ze środowiska (250 tys. zł).

Na inwestycje drogowe planuje się przeznaczyć 25 mln, na oświatę - 23 mln, na pomoc społeczną 15,5 mln, transport publiczny - 2 mln, a organizacje pozarządowe - 400 tys. zł. Wydatki we wszystkich tych kluczowych działach będą wyższe od wydatków poniesionych w 2019 roku.

Ustalono limity zobowiązań z tytułu emisji papierów wartościowych oraz kredytów zaciąganych na sfinansowanie przejściowego deficytu (2 mln zł), planowanego deficytu (9 531 055 zł), spłatę

wcześniej zaciągniętych zobowiązań z tytułu emisji papierów wartościowych oraz zaciągniętych kredytów (2 222 618 zł). Jednocześnie Zarząd Powiatu otrzymał upoważnienie do zaciągania kredytów oraz emisji papierów wartościowych na pokrycie występującego w ciągu roku przejściowego deficytu, zaciągania zobowiązań z tytułu emisji obligacji na spłatę wcześniej zaciągniętych zobowiązań z tytułu zaciągniętych kredytów i emisji obligacji oraz do zaciągania zobowiązań z tytułu emisji obligacji na finansowanie planowanego deficytu - w wymienionych wyżej wysokościach. (z)

Polityka senioralna

28 stycznia w Słupskim Inkubatorze Technologicznym odbyło się spotkanie z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, kandydatem na prezydenta RP z ramienia PSL. Spotkanie miało charakter otwarty i było poświęcone głównie polityce senioralnej.

W sali wypełnionej działaczami i sympatykami PSL, ale także przedstawicielami innych opcji politycznych i zwykłymi mieszkańcami Słupska, w tym sporą grupą młodzieży, kandydat na prezydenta RP mówił o kulejącej

służbie zdrowia, niskich świadczeniach emerytalnych oraz wykluczeniu społecznym. Starał się powiedzieć też, w jaki sposób zaradzić nurtującym Polaków problemom. - Bardzo ważne jest zabezpieczenie bytowe, czyli bezpieczeństwo dnia codziennego - podkreślał polityk i przypomniał projekt, do którego jest szczególnie przywiązany, pod którym PSL zebrało 140 tysięcy podpisów i który miał już swoje pierwsze czytanie w Sejmie. Chodzi o „Emeryturę bez podatku”. W ocenie W. Kosiniaka-Kamysza projekt ten gwarantuje trwałe, systemowe wsparcie dla osób, które pobierają renty i emerytury.

- Rozjechała się wartość płacy minimalnej z minimalną

emeryturą. Wzrost inflacji w Polsce w 2019 roku to szósty wzrost w Europie, dwa razy powyżej średniej. Obecny rok nie będzie rokiem kryzysu gospodarczego, chociaż niektórzy twierdzą, że tak, nawet rządzący dają takie sygnały. Według naszych analiz - gospodarka będzie dobrze się rozwijać. Ale będzie to też rok, w którym ceny będą rosły w nieprawdopodobnym tempie, a wartość nabywczą pieniądza będzie niższa. I to właśnie najbardziej dotknie emerytów i rencistów - przestrzegaliśmy polityk.

W. Kosiniak-Kamysz zdecydowanie stawiał też kwestie ochrony zdrowia i długich kolejek w oczekiwaniu na wizytę u lekarzy specjalistów czy na rehabilitację.

- Dla mnie jako kandydata na prezydenta reforma służby zdrowia to rzecz niezwykle ważna. Będę zdecydowanie do tego, aby przeprowadzić tę reformę, nie patrząc na to, że mają być wybory za cztery lata czy za pięć wyborów parlamentarne. Będę współpracował z wszystkimi środowiskami, będę współpracował z tymi, którzy dzisiaj rządzą, żeby ułatwić dostęp do lekarzy, pielęgniarek,

skrócić kolejki, zwiększyć finansowanie, oddłużyć szpitale, przyciągnąć lekarzy, którzy uczą się w Polsce i tych, którzy chcą do Polski przyjechać. Wiem, że w Słupsku na Akademii również zamierzacie kształcić lekarzy, dlatego będę wspierał was w tych staraniach - zapewniał polityk.

W. Kosiniak-Kamysz zapowiedział również działania zmierzające do pozostawienia Urzędu Morskiego w Słupsku oraz budowy trasy S6. - Urząd morski musi pozostać w Słupsku. Marek Sawicki jest szefem komisji gospodarki morskiej. Będę z nim rozmawiał, żeby zorganizował w Słupsku specjalne posiedzenie komisji i będziemy dążyć do zmiany podjętych już decyzji w sprawie przyszłości tego urzędu - padło kolejne zapewnienie.

Spotkanie miało żywy przebieg, zgromadzeni w sali mogli zadawać pytania i dzielić się swoimi opiniami. Przed wystąpieniem kandydata na prezydenta RP zaprezentował się zespół „AleBabki” z Kobylnicy, a po jego zakończeniu W. Kosiniak-Kamysz umożliwił jeszcze dziennikarzom zadawanie mu pytań. (z)



Fot. J. Maziejuk

Konwent wójtów i burmistrzów

W Dolinie Charlotty odbył się kolejny Konwent Wójtów i Burmistrzów Powiatu Słupskiego. Tym razem w spotkaniu udział wzięli nie tylko władze gmin i instytucji z powiatu, ale także parlamentarzyści z okręgu gdyńsko-słupskiego.

Spotkanie zdominowały główne priorytety ziemi słupskiej, a do tych należy zaliczyć zagadnienia związane z budową drogi ekspresowej S6, rozwojem linii kolejowej Gdynia-Słupsk, z wykorzystaniem rekompensat za tarczę antyrakietową w Redzikowie, rozbudowę portu morskiego w Ustce, przebudowę drogi krajowej 21 i plany rozwoju Akademii Pomorskiej w Słupsku.

Na konwencie rozmawiano także o planach rozwojowych Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku,

decyzji w sprawie zniesienia Urzędu Morskiego i rozwoju energetyki wiatrowej w regionie.

Wszystkie te sprawy są dzisiaj bardzo ważne dla dalszego

rozwoju ziemi słupskiej. Dlatego samorządowcy uznali, że powinni podyskutować o nich z parlamentarzystami i domagać się zdecydowanego wsparcia w ich załatwieniu.

Ważne jest też, by parlamentarzyści, niezależnie od opcji politycznej, jednakoowo je postrzegali i też byli do nich przekonani. Poza sprawami kluczowymi dla regionu, dotyczącymi rozbudowy drogi S6, portu w Ustce czy linii kolejowej Gdynia-Słupsk, rekompensat za tarczę antyrakietową w Redzikowie, ciekawie przedstawiają się plany rozwojowe szpitala i Akademii Pomorskiej.

Na tym tle, niestety źle wygląda sprawa zniesienia Urzędu Morskiego w Słupsku i o tej niekorzystnej dla regionu decyzji poświęcono też wiele czasu na konwencie. (z)



Fot. J. Maziejuk

Badania profilaktyczne

Ponad 60 mieszkańców powiatu słupskiego wzięło udział w programie „Nie daj się zaskoczyć osteoporozie!”, którego celem jest wczesne wykrywanie oraz ograniczanie skutków osteoporozy. Przy okazji można było bezpłatnie zbadać słuch.

Akcja diagnostyczna przeprowadzona została 9 grudnia ub. roku na terenie Parku Wodnego w Redzikowie. W osteobusie, wyposażonym w specjalistyczny sprzęt medyczny, obsługiwany przez doświadczonych techników

diagnostycznych przeprowadzono badania densytometryczne. Podobnie jak rentgenowskie są one rodzajem badań obrazowych, z tym że w ich przypadku dawka promieniowania jest kilkunastokrotnie mniejsza.

Badania mieszkańców odbywały się szybko i nie wymagały żadnych przygotowań ze strony pacjentów. Po niespełna 10 minutach diagnozowani otrzymywali wyniki wraz z krótką informacją o stanie swojego układu kostnego. Z badań mogły skorzystać osoby, które ukończyły 30 lat życia. O zakwalifikowaniu decydowała kolejność zgłoszeń

BORELIOZA



Według analiz Światowej Organizacji Zdrowia osteoporoza jest jednym z najpoważniejszych problemów zdrowotnych.

Ma duży wpływ na aktywność zawodową społeczeństwa i ważna jest wczesna diagnostyka, która umożliwia jak najszybsze leczenie. Natomiast ubytek słuchu dotyczy ludzi w każdym wieku. Jednak najczęściej do jego utraty dochodzi powoli, na przestrzeni lat. Skutki niedosłuchu ujawniają się stopniowo. Wczesna diagnoza również pozwala na szybkie rozpoczęcie leczenia.

Sfinansowany przez powiat słupski program przygotowany został we współpracy z Mobilnym Centrum Diagnostyki Osteoporozy i Akademią Aktywnego Rozwoju oraz przy zaangażowaniu Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Redzikowie. (J.L.)

Przeciw pneumokokom

Prawie 200 mieszkańców powiatu słupskiego skorzystało też z bezpłatnych szczepień w ramach zrealizowanego z Urzędem Marszałkowskim w Gdańsku innego programu zdrowotnego – „Szczepienia przeciwko pneumokokom dla osób 65+ z grupy ryzyka”.

Program realizowano wspólnie z innymi powiatami. W powiecie słupskim z 630 osób z grupy ryzyka objęto nim 189 (30 proc.) – takie były zasady stosowane we wszystkich powiatach, które finansowały szczepienia w 50 procentach, a drugie 50 proc. kosztów

finansował Urząd Marszałkowski w Gdańsku.

Przed szczepieniami przygotowano kampanię informacyjną o zagrożeniach płynących z braku zaszczepienia się przeciw pneumokokom, a także przeprowadzono szkolenie personelu medycznego – 7 pielęgniarek i 11 lekarzy z powiatowych placówek ochrony zdrowia. Edukacją objęto także pacjentów, którzy zgłaszali się na szczepienia.

Każdemu ze 189 pacjentów przeprowadzono również lekarskie badanie kwalifikacyjne. Pracownicy placówek medycznych sami telefonowali do swoich pacjentów, informując ich o możliwościach szczepień. Nikt nie zrezygnował z programu. Na 175 osób, które wypełniły po jego zakończeniu ankietę, wszystkie oceniły go pozytywnie.

W krótkim czasie udało się wyedukować zarówno pacjentów, jak i kadrę medyczną. Pneumokoki to bakterie, które mogą doprowadzić do zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych, spęsy, zapalenia płuc, ucha środkowego, zatok, zaostrzenia przewlekłego zapalenia oskrzeli, otrzewnej, stawów. Dlatego ważne jest prowadzenie

szczepień, które mogą zapobiec tym groźnym chorobom zarówno w wieku dziecięcym, jak i senioralnym. W województwie pomorskim występuje wysoka zapadalność na chorobę pneumokokową, dlatego program ma być kontynuowany także w tym roku i powiat słupski zamierza również wziąć w nim udział. (z)



Pomoc dla szpitala

Powiat słupski sfinansuje zakup histeroskopu zabiegowego na potrzeby Oddziału Położniczo-Ginekologicznego Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. Janusza Korczaka w Słupsku.

Histeroskopia jest nowoczesną, małoinwazyjną metodą endoskopową stosowaną w ginekologii do diagnostyki oraz

przeprowadzania zabiegów w obrębie jamy macicy. Metoda ta jest elementem profilaktyki chorób nowotworowych. Badanie histeroskopowe wykonuje się w ciągu jednego dnia pobytu pacjentki w szpitalu i może być wykonywane przez lekarzy będących dopiero w trakcie specjalizacji.

Sprzęt obecnie znajdujący się na wyposażeniu oddziału położniczo-ginekologicznego słupskiego szpitala jest znacząco wyeksploatowany i nie

spełnia już należycie swojej funkcji. Tymczasem na oddziale rocznie odbywa się ponad 1,4 tys. porodów i wykonywanych jest przeszło 2 tys. zabiegów.

Szpitala nie jest stać na zakup z własnych środków potrzebnego nowoczesnego sprzętu, dlatego chcąc zapewnić wysoce poziom świadczonych usług i biorąc pod uwagę dużą ilość porodów oraz wykonywanych na jego oddziale zabiegów, zwrócił się do samorządów o pomoc w zakupie niezbędnego urządzenia.

Powiat słupski odpowiedział jako pierwszy i zadeklarował, że sam w całości sfinansuje zakup histeroskopu, kierując się tym, iż sam nie prowadzi szpitala powiatowego, a z pomocy słupskiego Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego korzystają najczęściej mieszkańcy powiatu. Na potrzebny szpitalowi zakup powiat przeznaczy 35 tys. zł, które zostaną mu przekazane w formie dotacji celowej. Stosowną uchwałę w tej sprawie podjęła już Rada Powiatu na lutowej sesji. (z)

Jubileusz uniwersytetu

Pięciolecie działalności świętował Gminny Uniwersytet Trzeciego Wieku w Redzikowie, który prowadzi kilkanaście sekcji tematycznych, własną grupę wokalną, realizuje projekty i organizuje wyjazdy swoim słuchaczom do różnych ciekawych miejsc.

Uroczystości, 15 lutego rozpoczął występ Grupy Wokalne, która kilkoma utworami, w tym uniwersyteckim hymnem przywitała słuchaczy i zaproszonych gości. Były też występy „Świtezianek”, „Bierkowiek”, Chóru „Pasjonata”, Chóru Dziecięcego ze Szkoły Podstawowej w Redzikowie, Grupy Teatralnej „Antyrama” i znanych oraz popularnych zawodowych artystów - Anny i Romualda Spychalskich z Bydgoszczy.

Zdzisław Kołodziejski, pełniący obecnie funkcję prezesa przypomniał w swoim wystąpieniu, że pomysłodawcą powstania uniwersytetu była Elżbieta Domańska. 25 czerwca 2014 roku odbyło się pierwsze spotkanie Komitetu Założycielskiego, wybrany został zarząd z prezeską Izabelą Stelmasiak. 28 lutego 2015 roku uroczystie zainaugurowano działalność. Niestety, nie trwała ona długo, bo

pierwszy zarząd już w czerwcu złożył rezygnację. Wybrano kolejne władze z prezesem Marianem Swistunem i kiedy liczący 60 członków uniwersytet „rozkręcił” się na dobre, w październiku 2018 roku prezes ciężko zachorował, a zastępująca go koleżanka miała wypadek drogowy. Nie było łatwo, ale entuzjazmu nie brakowało. Mimo tego wszystko skończyło się dobrze. W maju seniorzy aktywnie uczestniczyli w obchodach Dnia Mieszkańca Gminy Słupsk, mieli swoje stoisko promocyjne, a zespół wokalny wystąpił na scenie.

11 października ub. roku na nowego prezesa uniwersytetu wybrano Zdzisława Kołodziejskiego - byłego starostę słupskiego. Dzisiaj zajęcia odbywają się w kilku sekcjach: gimnastycznej, sportowej i turystycznej, komputerowej, języka angielskiego, wokalne, teatralnej, gier stolikowych. Seniorzy wysłuchali już wielu wykładów o różnorodnej tematyce.

Uniwersytet zorganizował im wyjazdy do Teatru Muzycznego w Gdyni, na występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, do Słowińskiego Parku Narodowego. Gościł delegację Polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Wilnie. Seniorzy z Redzikowa

byli już też z rewizytą na Litwie. Wzięli udział w projekcie „Akademia Seniora Aktywnego” prowadzonym przez Akademię Pomorską w Słupsku, a także w projekcie „Skarby Bałtyku”, na który sami pozyskali grant ze Słowińskiej Grupy Rybackiej. Zwiedzili m.in. Pasiekę „Wędrawna Barć” w Krzemienicy, Zagrodę Śledziową w Starkowie, zorganizowali międzypokoleniową imprezę integracyjną w Siemianicach.

Wzięli też udział w zorganizowanych przez Starostę Słupskiego I i II Forum Seniorów, a także w I Wojewódzkim Forum Uniwersytetów Trzeciego Wieku w Gdańsku. (z)



Fot. J. Maziejuk

Nagrodzona czytelniczka

Nagrodę „Czytelniczki Wszech czasów” otrzymała Helena Klinger, która od początku powstania Gminnej Biblioteki Publicznej w Kobylnicy, tj. od ponad 70 lat jest jej wierną uczestniczką. Nagrodę ufundował Paweł Lisowski - starosta słupski.

Uroczyste uhonorowanie Czytelników Roku 2019 odbyło się 20 lutego w Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy. Honorowano tych czytelników, którzy w minionym roku przeczytali najwięcej książek z gminnej bibliotecznej oferty. Laureatów wyłoniono

w czterech kategoriach wiekowych. Wśród dzieci do 10 lat zwyciężyła Aurelia Zawistowska, dzieci i młodzieży w wieku

11-20 lat - Karina Safaryn, a wśród dorosłych - Karolina Skowronek. Czytelniczką roku została Zofia Kubicz, a wyróżnienia otrzymali: Henryk Binkowski i Edward Szczółko.



Fot. Archiwum Autora

W kategorii zaczytana rodzina I miejsce zdobyli: Natalia, Mateusz i Edyta Zubkowie, II - Lena, Paulina i Joanna Wojtaszkowie, III - Jakub, Konrad i Krystyna Brzozowscy, a IV - Maria, Radosław i Edward Szymoniakowie. Nagrodę specjalną dla najaktywniejszej czytelniczki audiobooków otrzymała Anđzelika Kazanecka.

Doroczne podsumowanie czytelnictwa w bibliotekach pokazuje, że mimo totalnej cyfryzacji naszego życia, tradycyjne, papierowe książki nie odchodzą w zapomnienie tylko nadal cieszą się zainteresowaniem czytelników. Każdego roku wędrują do wielu rąk i biblioteki odnotowują po kilka tysięcy wypożyczeń. (ck)

Świat oszalał, a politykom puszczają nerwy...

Momentami nawet ma się wrażenie, że współczesny świat oszalał. Oszalał w aspektach dążeń do panowania nad nim, ale i w zakresie czerpania z jego zasobów oraz pazernego rozdrapywania jego dóbr naturalnych.

W poprzednim numerze Powiatu Słupskiego pisałem o gorącym czasie grudnia. Przyznaję, miałem nadzieję, że początek nowego roku będzie chłodniejszy. I nie tylko zimowo pod względem aury. Bo kto z nas pamięta, żeby w styczniu nie było mrozu, żeby śnieg był zjawiskiem unikatowym, nie można było poza obszarami górskimi korzystać z nart, sanek, lepić bałwanów? Zresztą tam także nie jest „jak dawniej bywało”.

Miałem też nadzieję, że na świecie, ale przede wszystkim w Polsce, chłodniej będzie w obszarach społecznych i uprawianej przez rząd polityki. Przecież grudniowy czas świąt i płynących zewsząd do wszystkich serdecznych -- wzajemnych życzeń, powinien nie tylko kojąco wpływać na emocje, ale i studzić zapalczywe myśli i serca reformatorów rozmaitych ważnych i mniej ważnych dziedzin naszego życia.

Tak się nie stało jednak. Momentami nawet ma się wrażenie, że współczesny świat oszalał. Oszalał w aspektach dążeń do panowania nad nim, ale i w zakresie czerpania z jego zasobów oraz pazernego rozdrapywania jego dóbr naturalnych.

Już na początku roku sytuacja do jakiej doszło w Iranie po nie do końca przemyślanej decyzji prezydenta Trumpa, żeby zgładzić jednego z najbliższych doradców przywódcy Iranu Ajatollaha Chameiniego generała Sulejmaniego, wydawała się tak groźna, że można było spodziewać się wszystkiego, z wybuchem światowego konfliktu włącznie.

Napięcia na obszarze militarnym Iranu trochę wyłagodzone zostały na skutek przypadkowego zestrzażenia przez Strażników Rewolucji Islamskiej pasażerskiego Boeinga Ukraińskich Linii Lotniczych, ze 177 osobami na pokładzie. Incydent spowodował zbieg okoliczności podczas irańskiego odwetowego ataku na amerykańskie bazy wojskowe w Iraku.

A atak ten miał być sygnałem, że Iran jest gotowy do wojny z Amerykanami.

Trudno powiedzieć czy, gdyby sytuacja potoczyła się inaczej, konflikt zbrojny nie rozwinąłby się na większą skalę? Jak i trudno przewidzieć było, na ile zagrożona byłaby misja wojskowa przebywających w tym rejonie polskich żołnierzy. Co by było dalej?...

Testowanie nowych broni laserowych (Rosja, Chiny), tworzenie militarnych sił kosmicznych przez Stany Zjednoczone, pozyskiwanie dostępu do coraz bardziej wyrafinowanych broni masowej zagłady, kontynuacja wojen lokalnych w Afryce... Wszystko to dzieje się z udziałem światowych mocarstw i państw, które chcą im dorównać za wszelką cenę. I spycha nas na coraz bardziej kruche przestrzenie ludzkiej egzystencji.

Jeżeli jeszcze do tego doda się rosnące w zatrważającym tempie niszczenie środowiska naturalnego, ma nas co trwożyć, wywoływać frustracje i nakazywać zadawać podstawowe pytanie: co dalej? Co dalej z naszą planetą? Co dalej z pokojem? Co dalej z demokracją? A nawet: co dalej z rozsądkiem ludzkim? Jak będziemy żyć w takich warunkach? Jaką przyszłość gotujemy naszym dzieciom i wnukom; przyszłym pokoleniom?

Brak tradycyjnej zimy i uwidaczniające się coraz częściej anomalie pogodowe to wyraźny, widoczny sygnał, że tak zwany efekt cieplarniany powodowany nadmiernym zatrutowaniem środowiska naturalnego, nie jest już tylko propagandowym wymysłem, nie można go lekceważyć.

Z jakiej, przysłowiowej półki wziął się teraz śmiertelnie groźny koronawirus, którego źródło pojawiło się w chińskim mieście Wuhan? Czy to już samoobrona natury przed podejmującym z nią walkę człowiekiem? Czy wynik jakichś również nieprześlądnionych do końca działań ludzkich?

Co dalej będzie działo się, czy dojdzie do światowej pandemii?, trudno w tym momencie (przełom stycznia/lutego) przewidzieć.

Tak jak człowiek - z jednej strony - coraz skuteczniej broni się przed zagrożeniami wywodzącymi się ze środowiska naturalnego, tak - z drugiej strony - i natura broni się przed zagrażającym jej człowiekiem.

Dwa kierunki ludzkich oddziaływań na środowisko naturalne są szczególnie niebezpieczne. To kierunek - manipulacji biologicznych i medycznych z bronią chemiczną (masowej zagłady) w tajnych laboratoriach wojskowych i służb specjalnych, oraz - masowe rozprzestrzenianie się stosowania chemicznych środków ochrony roślin i nie zawsze do końca sprawdzone pod względem bezpieczeństwa genetyczne modyfikowanie żywności na potrzeby rolnictwa i konsumpcji.

Nie sugeruję niczego, co nie zostałoby potwierdzone badawczo, ale można sobie wyobrazić, jak współcześnie łatwo o pomyłki. Jak łatwo o nieprzewidziane sytuacje geologiczne, klimatyczne, pogodowe, na skutek których dochodzi do niszczących tragedii: pożarów, katastrof (nawet w elektrowniach atomowych), awarii urządzeń zabezpieczających wyciek, czy ulatnianie się trujących substancji z silosów lub krótkożywnotnych zbiorników, w których składowane są odpady radioaktywne, trujące substancje i toksyny gromadzone bezmyślnie na dnie mórz i oceanów, w ziemi. Nie mówiąc już o coraz większych trudnościach z likwidacją milionów ton śmieci produkowanych przez współczesną cywilizację i składowanych na terenach degradowanych w ten sposób ekologicznie.

Gdy piszę ten felieton, świat jest po pierwszym szoku klimatycznym, który ostatnio spowodował spustoszenie milionów hektarów lasów w

Australii, zniszczenie tysięcy ludzkich domostw i wyginięcie prawie dwóch milionów unikatowych często zwierząt (kangury, koale...).

Masowe niszczenie fauny i flory powoduje także nieodwracalne skutki dla klimatu i ludzkiej egzystencji. Na naszych oczach sprawdzają się najczarniejsze scenariusze, które mówią, krzyczą wręcz: Nasz świat ginie!.. Róbmy coś, bo... jeśli pozostaniemy bezczynni... Co będzie dalej?...

Nasza polityka wewnętrzna, którą wylamaliśmy się z Unii Europejskiej, krótkowzroczność w zakresie gospodarowania zasobami węgla kamiennego, doznała widocznej porażki. Nie sprawdza się scenariusz, że możemy spokojnie jeszcze przez kilka dziesięcioleci palić węglem, truć atmosferę miast i miasteczek jego dwutlenkiem, zanieczyszczać bezkarnie środowisko naturalne. Bo... jeśli nawet nie poniesiemy konsekwencji administracyjnych, karać nas będzie natura.

Atmosferę, powietrze którym oddychamy, nie tylko zanieczyszcza dwutlenek węgla. Truje nas wiele in-

tematy zdrowej żywności, a przy tym szkodliwości stosowanych w rolnictwie herbicydów i innych środków ochrony roślin, a także dodatków chemicznych poprawiających przyrost masy mięsnej u zwierząt hodowlanych, drobiu. To bardzo rozległe tematy, poczynając od świadomego nadużywania tych szkodliwych substancji w celu uzyskania większego zysku ze sprzedaży, aż po nieświadome wcześniej konsekwencje wynikające ze szkodliwości dla naszego zdrowia w dłuższej perspektywie czasowej. We Francji na przykład z tych powodów wycofuje się powszechnie uważany za nieszkodliwy dla ludzi randap, którym masowo opryskiwano rzepak. Jego związki szkodliwe dla naszego zdrowia wykryto w oleju.



Coraz więcej dowodów naukowych dociera do producentów i konsumentów także na temat ujemnego oddziaływania na nasze zdrowie w dłuższym (odłożonym) czasie roślin modyfikowanych genetycznie (GMO) - powodujących choroby psychiczne, choroby układu trawienia, rozwoju ludzkiego płodu... Wielu z nas zapewne słyszało niedawno o wykryciu znaczącego skażenia w naszych supermarketach i sklepach dyskontowych kasz, głównie gryczanych - glifosatem, spowodowanego uprzednio opryskami roślin (gryki). Przekroczenie dopuszczalnych norm glifosatu powoduje między innymi choroby hormonalne, Alzheimera, Parkinsona, autyzmu, depresji...

Planując uprawy roślinne trzeba także pokonywać bariery o charakterze ekonomicznym: żywność bez GMO, jest droga, nie każdego stać na nią. Ale produkcja żywności ekologicznej jest jednocześnie dla rolników, zwłaszcza gospodarujących na małych arealach

ziemi, bardzo opłacalna, i w najbliższym czasie wręcz konieczna. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że po ubiegłorocznych upałach, suszy i niedostatkach wody w okresie letnim, takie podstawowe produkty jak ziemniaki, warzywa, w tym pomidory zdrożały w stosunku do lat poprzednich dwu-, trzy-krotnie. A ich ceny w odniesieniu do żywności produkowanej ekologicznie - jeszcze raz tyle.

Nie jest tanie przechodzenie gospodarki na energię wiatrową, słoneczną, odchodzenie od palenia w piecach węglem, zmiana całej olbrzymiej bazy samochodowej poprzez odejście od benzyny i przejście na elektryczność.

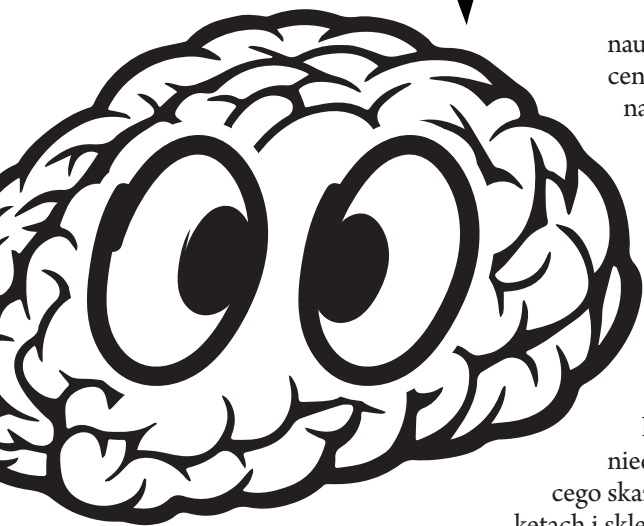
W wielu z tych dziedzin nasza gospodarka nie jest w stanie poradzić sobie sama, potrzebuje pomocy Unii Europejskiej, współdziałania pomiędzy innymi państwami, dostosowywania do współczesnych trendów światowych i europejskich.

Pisząc o tym, nie tylko mam na myśli aktualne oderwanie się od europejskich standardów w zakresie ograniczania emisji dwutlenku węgla. Chociaż tu też rodzi się pytanie: co dalej?... Jeśli Unia Europejska ograniczy nam środki finansowe na ochronę środowiska, jeśli planowane wcześniej dla nas środki przerzucone zostaną na państwa, które zgodziły się już na radykalne odchodzenie od węgla?

Co będzie z naszą gospodarką, jeśli - jak uważają niektórzy - pogłębiający się kryzys polskiej demokracji, nie zostanie zażegnany? Trudno już mówić, że w odpowiednim momencie, bo taki minął. Ale... jak to się mówi: gdy piłka jest w grze, wszystko jeszcze możliwe.

Żeby Czytelnikowi łatwiej było zrozumieć te tematy, posłużę się kilkoma prawdami oczywistymi. Pierwsza to taka, że nie należy bezgranicznie ufać politykom. Nawet jeśli są to politycy ulubionej przez nas partii. Druga odnosi się do wartości. Należy bowiem pamiętać, że polityk to tylko urzędnik, którego obowiązkiem jest przede wszystkim reprezentować interesy państwa, biorąc jednocześnie pod uwagę, by nie naruszały one zbyt interesów ogółu społeczeństwa.

Polityka nie należy mylić z politologiem. To nie zawód, to misja; społeczna, rzadko tak bywa, że politycy najwyższego szczebla, zasiadający w senacie, sejmie, są wysokiej klasy specjalistami. Podczas wyborów do tych instytucji wybierani są zatem ludzie z różnych środowisk, o różnym wykształceniu, dorobku życiowym,



nych chemicznych i biologicznych toksyn i śmieci, które dotąd jako ludzie fundowaliśmy sobie - wydawałoby się - bezkarnie. To także plastik, którego temat ostatnio upowszechnia się na całym świecie. Chińczycy, Japończycy już w najbliższym czasie zapowiedzieli jego eliminowanie, a naukowcy biją na alarm, że również jak najszybciej trzeba się go pozbyć z mórz i oceanów.

Coraz więcej wiemy i coraz częściej podnoszone są w mediach

doświadczeniu itp. Taki wybór dokonywany jest przede wszystkim po to, by przekrojowo całe społeczeństwo miało swych przedstawicieli w najważniejszych instytucjach władzy. By z drugiej strony - władza miała poprzez nich kontakt z całym społeczeństwem.

Uchwalanie ustaw, podejmowanie ważnych decyzji w najważniejszych kwestiach państwowych i społecznych nie może zatem odbywać się bez konsultacji ze specjalistami, przedstawicielami zainteresowanych środowisk; samorządowych, związków zawodowych itd., i bez udziału specjalnie powoływanych komisji. Takie są zasady demokracji.

Nie stosowanie tych zasad jest sprzeczne z zasadami demokracji. A już zupełnie nielogiczne, wręcz absurdalne jest podważanie kompetencji instytucji nadrzędnych (w tym o charakterze międzynarodowym), gremiów profesorskich i wysokiej klasy specjalistów, przez czasowo wybieranych na parlamentarystów ludzi bez wykształcenia, czy chociażby magistrów, ale i niekiedy także doktorów czy profesorów, których wiedza różni się z kierunkami wiedzy niezbędnej w podejmowanych tematach prawnych.

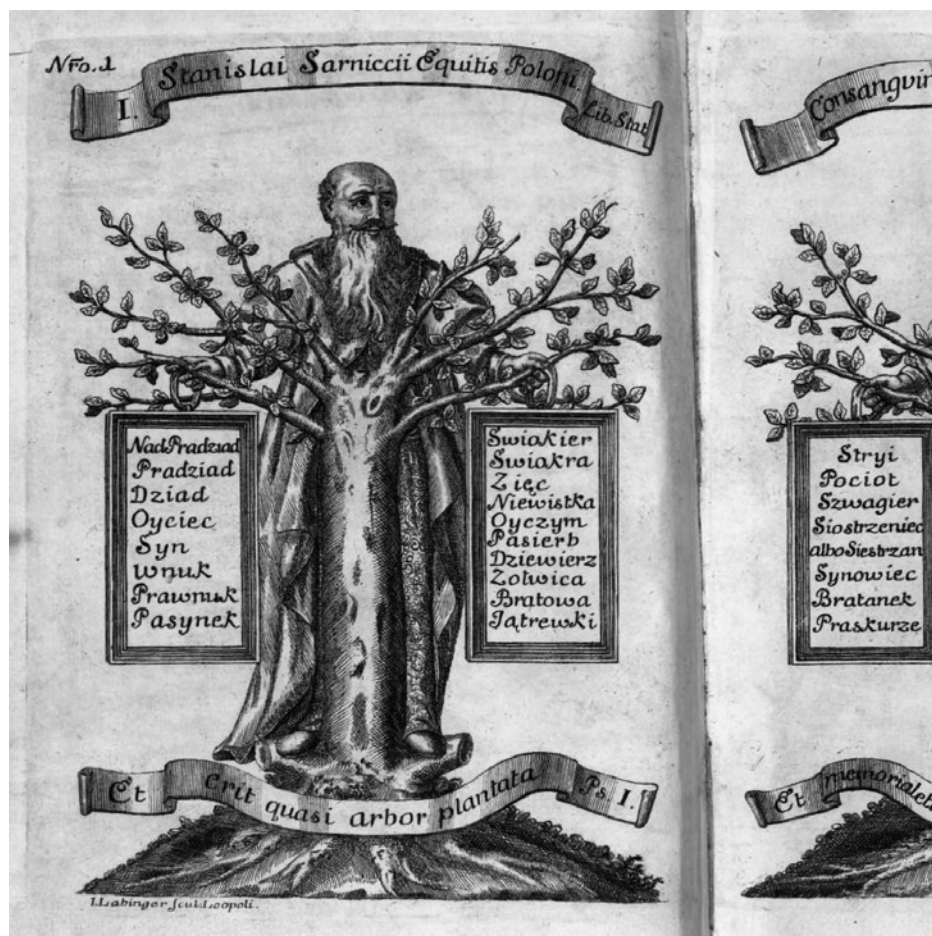
Senat, sejm, Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, Najwyższa Izba Kontroli i inne instytucje najwyższego szczebla państwowego zawsze na mocy ustaw najwyższych - Konstytucji - były instytucjami o najwyższym, samodzielnym umocowaniu, niezależnym od kaprysów niedoświadczonych polityków, kapryśnych, czy sfrustrowanych przywódców partyjnych, a już tym bardziej od wszelkich mafijnych powiązań i koligacji partyjnych, biznesowych czy rodzinnych. Wszystko, co się z tym różni, nie jest z tymi zasadami zgodne, jest anarchią, anomalią polityczną prowadzącą do anarchii. I jak powiedział ostatnio w swoim patriotycznym i dosadnym wręcz wystąpieniu z okazji 75. rocznicy wyzwolenia nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz Birkenau były jego więzień Marian Turski - prowadzi do kolejnych prześladowań i ...obozów zagłady.

„Nie bądź obojętny!” - to przytoczone przez Mariana Turskiego, jedenaste przykazanie. Pamiętajmy o tym.

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

Nasze drzewo genealogiczne

Co, a może raczej wypadałoby zapytać, jakie czynniki powodują, że dzisiaj tak modne staje się sięganie do rodzinnych kronik i rozmaitych pamiątek po przodkach? Czy kierujemy się, sięgając do rodowych korzeni i co wyzwala potrzeby upamiętniania naszej przeszłości?



Zapewne powodów wzrostu zainteresowania przeszłością jest wiele, a to czym ona jest w przypadku naszych rodzin, to rozległy temat o charakterze zarówno psychologicznym, jak i historycznym, a często także i materialnym.

Ktoś powie: moda. Uleganie modzie na poszukiwania korzeni rodowych, budzi potrzeby ich odnajdowania i tworzenia własnego drzewa genealogicznego. I z tym też można się zgodzić, ale modę wywołuje jakiś trend, coś daje jej początek, ktoś ją pobudza, rozwija, szerzy. Zatem pełni tej odpowiedzi należy szukać gdzie

indziej. Należy przede wszystkim szukać jej we współczesności.

Zmienia się świat, zmieniają się nasze nawyki, przyzwyczajenia, otoczenie. Inna jest niż przed laty technika, inne są zapatrywania na granice państwowe. I na podstawowe wartości ludzkiego życia włącznie z religią, seksualnością, tradycjami. Stajemy się obywatelami bardzo różnorodnego świata wielu kultur, ras i narodowości. W całym tym galimatiasie coraz częściej zaczynamy się zastanawiać: skąd się wziąłem? Kim byli moi przodkowie? Dlaczego mam taki, a nie inny kolor skóry, włosów, takie a nie inne

talenty, lub takie akurat przywary, które mi na co dzień przeszkadzają?

W Polsce, w kraju o szczególnie rozpolitykowanym społeczeństwie, o niezwykle losach dziejowych, bardzo ważną rolę odgrywają także takie wartości, jak przynależność naszych rodowych poprzedników do określonych partii, zawodów i grup społecznych. Czy dla przykładu czyjś dziadek był członkiem Wehrmachtu, Ormowcem, czy aktywnym esbekiem lub upartyjnionym działaczem, mającym wpływ na sprawowanie władzy. Ważne dla wielu osób staje się oczyszczenie ze złych wzorców postępowania, z

tego typu, jak wojny, wypędzenia, zsyłki, wielkie migracje, no i wymuszonego na nas Polakach powojennego milczenia o wielu prawdach historycznych, jak chociażby o mordzie katyńskim, o napaści sowieckiej na Polskę, o walce żołnierzy wykłętych podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu, w pamięci młodych pokoleń powstała luka. Luka pamięciowa co do treści tych zdarzeń, ale i co do kontynuacji rodzinnych tradycji, czerpania z wzorców i doświadczeń rodowych.

Tę lukę, te białe plamy i niezapisane lub zapomniane karty naszych rodzinnych historii, mamy teraz okazję wypełnić. Mamy przy tym okazję przekonać się, jak pomocną może być w naszym życiu wiedza o przeszłości naszych przodków. Jak łączy i buduje rodzinne więzi, a przez to i doskonalili szersze więzi społeczne świadomość, że żyjemy w długim ciągu zdarzeń, tak często i tak mocno czasami od nas zależnych.

A jaki wpływ na nasze koligacje rodzinne mają takie wartości, jak pochodzenie społeczne? Jak na przykład powiązać dawne rodowody szlacheckie ze współczesnymi, ale już także odesłanymi do lamusa historii, związkami naszych rodów z pochodzeniem robotniczym, chłopskim, czy inteligenckim?

O ile rzut „inteligentkiego miotu” był ściśle spójny z wykształceniem, i nadal pozostaje zrozumiały i akceptowany społecznie, o tyle związki rodowe z klasą robotniczą już tak chętnie przywoływani nie są. A niesłusznie. Klasa robotnicza w różnych epokach historycznych kojarzyła się zawsze z ludźmi, którzy ciężko pracowali, byli często wyzyskiwani przez posiadaczy fabryk i zakładów pracy (właścicielami prywatnymi, ale i państwem także), walczącymi o swoje prawa i praw tych pozbawianymi. Z czasem zapewne te elementy będą ulegały dalszemu łagodzeniu w odniesieniu zarówno co do ich oceny, jak i wartościowania emocjonalnego. Zniknie przeświadczenie o niższości tej warstwy społecznej w odniesieniu zarówno do ludzi majątnych, jak i wykształconych.

Jeszcze gorzej w niedawnej przeszłości oceniało się klasę chłopską. Pochodzenie chłopskie zawsze wiązało się z urodzeniem na wsi, z zależnością od ziemi i życiem w środowisku wiejskim. Związki ze wsią, z rolnictwem

były przy tym tak silne, iż za czasów PRL wykształcił się nawet pewien hermetyczny obraz ludzi ze wsi, których dostęp do wielu dóbr zarówno materialnych, jak i intelektualnych był utrudniony, a przez to i planowo przez państwo wspierany.

Związki rodowe dzieci z rodzicami uprawiającymi ziemię były na tyle silne, że wręcz tradycją stawało się rodzinne przekazywanie gospodarstw. Wieś gromadziła główne siły robocze oparte na pracy fizycznej; znany był głośny sojusz robotniczo-chłopski ratujący powojenną gospodarkę, a później wspierający rozwój socjalistycznego państwa.

Na szczęście te wymuszone przez epokę światowych wojen i ostatniego powojnia podziały środowiskowe, na skutek industrializacji, burzliwego rozwoju nauki, techniki i myśli twórczej, a potem zmian ustrojowych i szerokiego otwarcia granic państwowych, emancypacji kobiet, masowych migracji ludności, przestały obowiązywać, i samoistnie się wyczerpały. Niwelują się, zatracając jakiekolwiek zabarwienie pejoratywne w sensie ich wartościowania. Stają się często nawet kalką nakładaną na rodowe nasze korzenie poprzedników do rozumnej oceny ponoszonych przez nich ciężarów na rzecz minionych epok i żyjących w nich społeczeństw.

Znajomość historii, a przy tym odkrywanie jej nowych związków i współzależności z rodowymi losami naszych przodków może także wiele wnieść do rozumienia ogólnych zasad funkcjonowania w życiu społecznym. W poszukiwaniu własnej drogi rozwoju, a przede wszystkim w doskonaleniu więzi społecznych opartych na rozumieniu zawitych ścieżek i losów naszych praojców. W budowaniu wzajemnych więzi kulturowych, ale i rozumieniu różnic dzielących nas z innymi: współplemioncami, ale także i ludźmi dostępu do których udzielił nam współczesny świat: ludźmi innej rasy, wyznania, poglądów, narodowości. Zrozumienia, że tak jak oni są od nas różni, my dla nich także pozostajemy inni. Inni, ale łączy nas sięgający korzeniami daleko w głąb przeszłości ten sam pierwiastek ludzki - wspólne DNA z odmiennymi zapisami czasu, miejsca i warunków, w jakich dane wszystkim było żyć i tworzyć.

**Jan Stanisław Smalewski
Bąkowo**



Fot. wikipedia.org

zarzutów o brak patriotyzmu, czy też chęć potwierdzenia bohaterstwa i heroizmu niektórych „współplemieńców”. Chcemy wiedzieć, czy mamy co ukrywać, czym się za przodków wstydić lub czym możemy się pochwalić, z czego chlubnie korzystać w naszej codziennej działalności zawodowej, w życiu rodzinnym i towarzyskim.

Drzewo rodowe, inaczej drzewo genealogiczne pomaga nam wszystkim te nieznane i zapomniane przez historię fakty odsłonić, przypomnieć. W przypadku zawilosci historycznych i długiego półwiekowego, a czasami i dłuższego przemilczania wydarzeń



Pod nowym ministerstwem

Zgodnie ze znaną zasadą „myśl globalnie, działaj lokalnie”, polska branża turystyczna musi tak przygotowywać ofertę, aby mogła jak najdłużej zatrzymać turystów.

Po ostatnich wyborach i rekonstrukcji staro-nowego rządu znaczne zmiany zaszły w branży turystycznej. Spekulowano, do jakiego resortu przejdzie, nie chodziło o to, który resort będzie za nią odpowiedzialny, ale o to, jakie znaczenie będzie miała.

Turystykę umieszczono w Ministerstwie Rozwoju. Na jej szefa powołano 3 stycznia br. Andrzeja Gut-Mostowego - sekretarza stanu, pełnomocnika Prezesa Rady Ministrów do spraw promocji polskiej marki.

W terenie nadal działają organizacje zajmujące się promocją turystyki powołane przez lokalne samorządy, wspierane przez branżę turystyczną, kulturalną, oświatową i lokalne stowarzyszenia.

Pomorska Regionalna Organizacja Turystyczna, której powiat słupski jest członkiem, wkroczyła w piątą kadencję działalności. Dziewiątego stycznia br. odbyło się Walne Zebranie jej członków. Można było dowiedzieć się, że gospodarka turystyczna w regionie rozwija się w sposób stabilny i zrównoważony. Szacuje się, że w roku 2019 firmy tego obszaru wygenerowały przeszło 6 proc. PKB w województwie. W minionym 2019 roku liczba obiektów noclegowych wynosiła 9 194, a miejsc noclegowych 218 336 - w obiektach skategoryzowanych, apartamentach i najmu krótkoterminowego.

Rozwijana siatka połączeń lotniczych sprawiła, że Port Lotniczy Gdańsk im. Lecha Wałęsy obsłużył ok. 5 mln pasażerów. Połączenia promowe ze Szwecją, kolejowe z Warszawą, Krakowem, Wrocławiem oraz oddanie do użytku w kraju kolejnych odcinków

dróg ekspresowych (m.in. S7 i S6) przyczyniły się do wzrostu liczby turystów odwiedzających region.

Planując działania na rok 2020, PROT uwzględniła wyraźne trendy w turystyce krajowej i międzynarodowej. Podejmowane inicjatywy mają opierać się na dostępnym marketingu i współpracy podmiotów. Wśród międzynarodowych trendów w roku bieżącym jeszcze większe znaczenie niż dotychczas będą miały: troska o środowisko naturalne i zrównoważony rozwój, realizowanie pasji i przeżywanie indywidualnych doświadczeń oraz aktywny tryb życia z uwzględnieniem starzenia się społeczeństwa. Dominować będzie też większe znaczenie nowych technologii i ekonomia współdziałania.

W turystyce zagranicznej coraz większą konkurencją będą oferty innych państw z basenu Morza Bałtyckiego, jak również chęć spędzenia urlopu we własnym kraju przez potencjalnych turystów. Cele, jakie stawia sobie pomorska organizacja, to: wzmocnienie wizerunku regionu jako destynacji całorocznej, budowanie rozpoznawalności w połączeniu z konkretnymi produktami, zwiększenie udziału turystyki przyjazdowej, kreowanie i umacnianie marki regionu.

W strategii działania zwrócono uwagę na zintegrowany i kompleksowy plan poczynań komunikacyjnych, obecność na rynkach priorytetowych, bliską współpracę z jednostkami samorządu terytorialnego, lokalnymi organizacjami turystycznymi i lokalnymi grupami działania, wspieranie lokalnych strategii promocji i ścisłą współpracę w branży.

Ważnym zadaniem dla całego środowiska będzie organizacja wizyt studyjnych dla mediów (bloggerów) i touroperatorów. W przypadku tych ostatnich pojawi się możliwość zaprezentowania oferty i produktów oraz nawiązania współpracy z regionalnymi dostawcami usług.

Pomorska Regionalna Organizacja Turystyczna konsekwentnie już od kilku lat wdraża przygotowywane projekty, zorientowane na klienta indywidualnego, przy aktywnym udziale biznesu turystycznego. Równolegle podejmuje działania w tzw. obszarze B2B (business to business).

Uruchamianie wsparcia dla biznesu pozwala nawiązywać kontakty i wprowadzać ofertę przyjazdową do działalności zagranicznych touroperatorów. Ma powstać sprzyjająca przestrzeń do zawierania trwałych i efektywnych partnerstw, podnoszenia kompetencji i kwalifikacji kadr pracujących w turystycznym sektorze. W efekcie - skuteczna komercjalizacja oferty przyjazdowej.

W 2020 roku, oprócz dużego wydarzenia dedykowanego różnym rynkom, planuje się zorganizować wiele mniejszych imprez nakierowanych na konkretny kraj czy region, np. Niemcy, Skandynawię czy Azję. Wydawane będą tradycyjne publikacje cieszące się wciąż niesłabnącym zainteresowaniem turystów. Wydany zostanie m.in. folder „Pomorskie atrakcje turystyczne”. Ukazą się wydawnictwa promujące ofertę medyczną (zdrowotną), mapy tras rowerowych i tzw. mapy zrywki o największych atrakcjach turystycznych.

Zaplanowane działania systemowe to przede wszystkim: inwestowanie

w kadry, certyfikacja punktów informacji (zgodnie z kryteriami Polskiej Organizacji Turystycznej), szeroko rozumiana współpraca i wspieranie działalności członków PROT.

Należy podkreślić, że działalność organizacji przekłada się na wizerunek regionu i przynosi konkretne korzyści ekonomiczne. Przynależność do organizacji daje nie tylko realny wpływ na kształtowanie polityki promocyjnej, wzmacnia również strukturę zarządzania turystyką i gwarantuje pakiet dodatkowych profitów, między innymi umożliwia aplikowanie o środki w konkursie wydawniczym oraz udział w krajowych imprezach wystawienniczych.

A skąd organizacja ma środki? Ze składek członkowskich i z innych źródeł. W tym roku PROT będzie dysponowała kwotą ponad 2,8 mln zł, w tym wpływy ze składek członkowskich wyniosą ponad 1,8 mln zł. Największe płacą: Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego - 1,01 mln zł, miasta Gdańsk, Gdynia i Sopot - łącznie 690 tys. zł. Port Lotniczy płaci 50 tys. zł, samorządy lokalne - 52 tys. zł i pozostali członkowie - 52,9 tys. zł.

Powiat słupski od lat korzysta z dofinansowania PROT na przygotowanie wydawnictw, promocję na targach krajowych i zagranicznych. Szansę na taką pomoc mają wszyscy członkowie pod warunkiem, że przystąpią do konkursu i złożą w odpowiednim terminie wnioski.

Myślę, że można pokusić się o stwierdzenie, że plan działania Pomorskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej na ten rok jest ambitny. Należy jednak pamiętać, że niespodziewane zagrożenia zawsze mogą dać o sobie znać. Zamieszanie związane z koronawirusem spowoduje, że biura wysyłające turystów na Daleki Wschód, stracą finansowo. Zjawisko ocieplania się klimatu, a co zatem idzie wzrostu temperatury w wodach przybrzeżnych Bałtyku będzie powodować nagminne pojawianie się sinic, a brak zastępczej infrastruktury i oferty kulturalnej może spowodować, że wielu turystów zrezygnuje z pobytu nad morzem.

Joanna Orłowska, Słupsk

Autorka jest członkiem Zarządu Pomorskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej w Gdańsku.

Czas na regionalne produkty

Zwiększa się ilość produktów tradycyjnych na całym Pomorzu. Przygotowują je Koła Gospodyń Wiejskich, ale nie tylko. Smaki regionu są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Często przepisy na różne specjały sięgają czasów przedwojennych.

Karola Bober z Lipusza w powiecie kościerzyńskim od 2011 roku zajmuje się wypiekami domowego chleba. Jej wypieki oparte są o przepisy sprzed stu, a nawet stu pięćdziesięciu lat. Znalazła je w starych kaszubskich książkach kucharskich. Znałe są jej ciasteczka według przepisu z XIX wieku. Mają bardzo oryginalną nazwę „gdańskie chlebki do kawy”. Z jej piekarnika wychodzą też chleby gryczane, żytnie, białe na maśle albo z czarnuszką na chmielu. Wymyśliła również chleby bezglutenowe i bezglutenowe dla osób chorych. Wypieka babkę, ponadto pierniki gdańskie i pomorskie. Do swoich wypieków p. Karola używa foremek z poprzedniego stulecia. Posiada ich w swojej kolekcji około 400 i 1700 makatek, nawet z rymowanekami.

Karolina Bober jest organizatorem warsztatów, które odbywają się w lipuskiej Zagrodzie Kaszubskiej. Na spotkaniu trwającym około 3 godzin dorośli, jak i dzieci poznają sztukę wypieku wyjątkowych bochenków. Dodajmy, że Karola jeździ ze swoimi przepisami i gotowymi wypiekami do muzeów w Swołowie i Klukach, gdzie również prowadzi warsztaty szkoleniowe. Zachęca młode matki, a nawet

babcię, by piekły z dziećmi ciasteczka. Można je potem włożyć w puszki i jeść nawet po kilku miesiącach.

Chleb razowy „koprzywieński” wypieka właścicielka gospodarstwa agroturystycznego Kazimiera Kula w Nowym Koprzywnie koło Barwic. Od wielu lat to pieczywo wypiekane jest w oparciu o tę samą recepturę,



Fot. M. Maj

w piecach chlebowych z 1909 i 1926 roku, z użyciem dzieży i kolibek odziedziczonych po rodzicach. Obecnie kobiety z Koprzywna, wypiekając chleb nadal starają się przestrzegać zasad wpojonych im przez mamy i babcie. Stosują surowce pochodzące z rodzimych gospodarstw. Do opalania piecy chlebowych wykorzystują drewno mieszane, iglasto-liściaste. Dla uzyskania wyraźnego aromatu dokładają drewna jabłoni lub wiśni, natomiast gałązki buku, by uzyskać odpowiedni kolor wypieku.

Wielokrotnie nagrodzona była rodzina Tabińskich ze Szczecina. Cukiernia „Pierniki Szczecińskie” zajmuje się pieczeniem doskonałych pierników, które mają znakomity smak. Już w 1938 roku źródła historyczne podają informację o istnieniu pierników szczecińskich („Stettiner Peperkoken”). W tym samym roku zapoczątkowana została przez ówczesne władze Szczecina nowa tradycja ustawiania na placach miasta wysokich choinek przystrojonych kolorowymi piernikowymi figurkami: marynarzy, kotwic, kutrów rybackich, mew, ryb. Ta adwentowa dekoracja ulic Szczecina zaprojektowana została przez głównego architekta dr. Reichowa. Jak podawały ówczesne źródła, piernikowe przysmaki nie ozdabiały jedynie miejskich choinek, ale można je było kupić we wszystkich piekarniach i cukierniach Szczecina.

Współcześnie do przygotowania pierników szczecińskich stosuje się: mąkę pszenną lub żytnią, migdały, miód, cukier brązowy, cynamon, goździki, kardamon, imbir, gałkę muszkatołową, skórkę cytrynową oraz sodę oczyszczoną. Ten wspaniały produkt, o słodko-korzennym smaku wypiekany jest w charakterystycznych kształtach, związanych najczęściej z tematyką morską: statków, marynarzy, mew, ryb, kotwic, żaglówek, itd. Tak przygotowane goszczą na stołach domostw z okazji różnych świąt, jarmarków, czy konkursów.

Ciekawą propozycję kulinarną przygotowała Krystyna Hapke z Ostrego Barda w powiecie świdwińskim. Jej rodzina wywodzi się z Wołynia. W swoim gospodarstwie ekologicznym przyrządza ona grzyby marynowane z szyszką. Celem urozmaicenia tej potrawy i nadania jej bardziej wykwintnego, łagodnego smaku, odmiennego od ostrych smaków octowych, dodawano do zalewy miodu,

a także zielone szyszki sosnowe. Receptura na grzyby marynowane z szyszką wywodzi się z roku 1970, a zapisana została na kartce papieru przechowywanej w zbiorze domowych przepisów kulinarnych. Do jej przygotowania potrzebne są: grzyby, cukier, ocet, woda, miód, marchew, cebula, gorczyca, sól i oczywiście zielone szyszki sosnowe. Tak przygotowane grzyby podnoszą znakomicie wykwintność i oryginalność dań z dziczyzny, wieprzowiny, wołowiny, a nawet drobiu. Produkt podawany jest na stół z okazji różnych uroczystości rodzinnych i świąt.

Gdzie można kupić produkty regionalne? To pytanie zadaje sobie sporo konsumentów. Mieszkańcy szczególnie w miastach wciąż mało wiedzą o certyfikowanej żywności. A trzeba dodać, że producentów serów, miódów olejów i wędlin przybywa. Okazuje się, że istnieje alternatywa dla tych produktów spożywczych, które nabywamy na co dzień. Niestety nie ma jeszcze takiej skali produkcji, żeby trafiła ona na półki sklepów wielkopowierzchniowych. Ale istnieje już strona internetowa „Polska smakuje” i można na niej znaleźć certyfikowane produkty spożywcze. Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa podejmuje też określone działania celem promocji produktów rolnych i żywnościowych. Przed dwoma laty pojawiły się na Stacjach Orlenu pierwsze produkty regionalne. Inne stacje paliw też mogą pójść tą drogą. Przed produkcją ekologiczną istnieje jeszcze wiele szans, ważne aby je dobrze wykorzystać.

Na zakończenie warto podkreślić działania prozdrowotne Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie w Katedrze Żywienia Człowieka i Metabolomiki. W oparciu o unijną dotację w tej medycznej uczelni opracowano recepturę zdrowotnych bułeczek i batonów. Ich specyficzny skład pomaga przy chorobach wątroby i, co ważne, ma wpływ na redukcję masy ciała. Batonów mają dodatkowo za zadanie ułatwienia w defektowaniu (wypróżnianiu). Stworzono je specjalnie dla pacjentów, którzy cierpią z powodu zbyt rzadkiego wypróżniania się. Obecnie produkcją tych zdrowotnych bułeczek i batonów zajęła się jedna ze szczecińskich piekarni.

Może i w naszym regionie znajdzie się piekarz, który podejmie tę interesującą produkcję?

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk

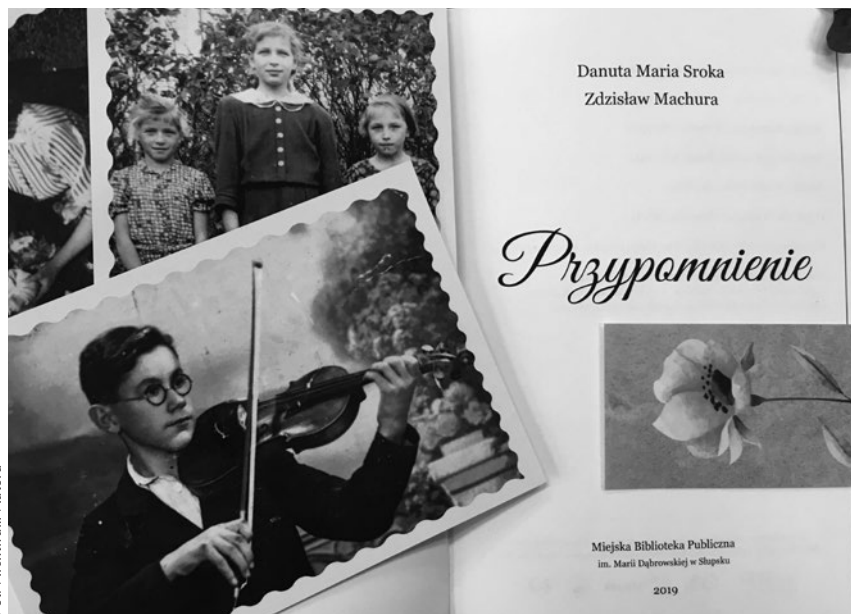
Projekt Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku pn. „Przypomnienie - Barwinek i Boiska Stare” składa się z kilku odsłon: przygotowania i wydania publikacji - trzech opowiadań zamkniętych w brulionie; organizacji żywych lekcji historii dedykowanych uczniom szkół podstawowych; digitalizacji materiałów z uczniowskiego tornistra z roku 1936 oraz uaktualnienia technologicznego strony detektywihistorii.mbp.słupsk.pl.

Inspiracją było odnalezienie owego tornistra z pełną jego zawartością: drewnianym piórnikiem, obsadką i stalówkami, zapisanymi zeszytami z poplamioną bibułą i liniuszkiem wetkniętym pomiędzy kartki, podręcznikami szkolnymi do klasy piątej i pamiętnikiem Alinki Kamińskiej, właścicielki tornistra odnalezionej na strychu przedwojennej kamienicy, która w owym 1936 roku miała zaledwie dziesięć lat. W ramach projektu przygotowano wystawę składającą się z dwunastu plansz, która w sposób obrazowy - fotograficzny przedstawia subiektywne losy przesiedleńców osiadłych na Pomorzu po drugiej wojnie światowej. Fotografie pochodzą ze zbiorów rodzinnych autorów publikacji. Zebrane podczas projektu dokumenty umieszczono na stronie: detektywihistorii.mbp.słupsk.pl. Przedsięwzięcie uzyskało wysoką ocenę punktową i zostało dofinansowane przez Muzeum Historii Polski z programu Patriotyzm Jutra. Wkład własny zapewniło miasto Słupsk. Parterami były trzy słupskie szkoły podstawowe: nr 2 im. Tadeusza Kościuszki, nr 6 im. Ludwika Waryńskiego i nr 8 im. Żołnierzy Armii Krajowej oraz Archiwum Państwowe w Koszalinie, Oddział w Słupsku.

Wydano zbiór opowiadań pt. „Przypomnienie”. Wstęp napisał prof. Daniel Kalinowski - filolog polski, literaturoznawca specjalizujący się w literaturze XIX wieku. Pierwsze opowiadanie pt. „Alinka” obrazuje losy polskiej dziewczynki z kresów wschodnich, z Grodna, której tornister odnaleziono na strychu starej ponemieckiej kamienicy. By ta część mogła zostać napisana, autorzy przeprowadzili warsztaty dla uczniów szkół podstawowych. Pierwsze lekcje oparto na wspomnieniach przeżyć wrześniowych z 1939 roku, dotyczących terenów Radomska i jego okolic oraz

Barwinek i Boiska Stare – przypomnienie

Wszyscy jesteśmy skądś, jeżeli nie my, urodzeni tu po 1945 roku, to nasi rodzice i dziadkowie. Temat przesiedleńczy jest wciąż żywy, a im więcej informacji ukazuje się z zakresu osadnictwa, tym częściej docierają sygnały o potrzebie opisanie kolejnych dokumentów, spisania kolejnych opowieści.



Fot. Archiwum Autora

wrogiej napaści Niemców i Sowietów na Grodno.

Na lekcjach prezentowano tornister Alinki Kamińskiej, opowiadając co działo się w Grodnie we wrześniu 1939 roku na podstawie losów ówczesnego mieszkańca Grodna, urodzonego w 1929 roku, dzisiejszego mieszkańca Słupska. Autorzy przyglądali się reakcjom uczniów, które, po wyborze, umieszczono w pierwszym rozdziale książki.

Na potrzeby projektu uszyto fartuszek uczniowski, odwzorowując model marynarskiego ubrania szkolnego obowiązującego przed wojną w grodzieńskiej „Batorówce”. Uczniowie pisali prace dotyczące przeżyć Alinki. Problematykę przesiedleńczą uzupełniły refleksje wspomnieniowe kobiety spędzającej czas u dziadków na Lubelszczyźnie, w latach jej dzieciństwa, a urodzonej 19 lat po drugiej wojnie światowej.

W lokalnej prasie, radio i telewizji ukazały się informacje na temat realizowanego projektu. Dzięki temu z jego autorami zaczęli kontaktować się kolejni ludzie noszący traumę powojennych przesiedleń. Pojawili się również

młodzi dziennikarze z Grodna zainteresowani losem Alinki Kamińskiej.

Dziewięćdziesięcioletni słupszczanin z Grodna, przesiedlany na Pomorze, opowiedział historię swojej rodziny, która we fragmencie znalazła się w pierwszym rozdziale. Kolejne opowiadanie przenosi czytelnika na Lubelszczyznę, do Boisk Starych, gdzie babcia Genowefa, oprószona życiem, otulała wielką miłością swoje wnuki. W tym opowiadaniu pojawia się też wieś pomorska i babcia Aniela, która w niej zamieszkała. Działania wojenne spowodowały, że z Lubelszczyzny musiała przenieść się na Pomorze w akcji Hrubieszów-Tomaszów. Wyrwana ze swojego znanego i oswojonego środowiska, cierpiała okrutnie. Tęskniła. Z trudem zaprzyjaźniała się z nowym dla niej światem. Trzecie opowiadanie ukazuje losy rodziny z Barwinka - wsi której już nie odnajdziemy na mapie.

Cała publikacja to retrospekcja - przywołanie życia minionego, relacją dwóch pokoleń, które zostały połączone nicią współczesną. Opowieści odkopane z pamięci, dopełnione życiem, ikonografią, opisem przyrody

i przeżyć rodzinnych, wydają się być znakomitą formą przekazu dla pokolenia urodzonego po transformacji ustrojowo-społecznej.

Reminiscencje w opowiadaniu, fakty historyczne i źródła ikonograficzne, niewątpliwie stanowią dopełnienie losów osadników pomorskich, ludzi przesiedlonych oraz polskich mieszkańców Pomorza na tych ziemiach urodzonych. W tornistrze zostało zamknięte życie uczniowskie, przycupnęło gdzieś na strychu w oczekiwaniu odkrywcy. Jest jak stempel przypomnienia życia czyjegoś.

Na Pomorzu odczuwalny jest ciągły głód wiedzy z zakresu historii osadnictwa i potrzeba ukazania unikalności wydarzeń. Takie działania „odkopują” pamięć, wymagają pewnego skupienia, przypomnienia dawnych wojennych niepokojów. Świadkowie historii związanej z drugą wojną światową i przesiedleniami powoli żegnają się z ziemskim światem, zaś pokolenie które przez lata słuchało wspomnień, odczuwa potrzebę utrwalenia subiektywnych relacji.

Literatura wspomnieniowa na początku XXI wieku stała się ważną i oczekiwana, dlatego też opisywany w niniejszym artykule projekt wpisuje się w ramy zapisanej dla przyszłych pokoleń relacji.

W Słupsku mieszka wiele osób, które w wyniku zawieruchy wojennej z własnej woli lub na skutek przesiedleń (m.in. akcji „Wisła”, akcji HT - Hrubieszów - Tomaszów) osiadły w tym mieście na stałe. Wśród osadników znajdują się osoby przybyłe z wielu zakątków Polski, również z Kresów Wschodnich.

Wszyscy jesteśmy skądś, jeżeli nie my, urodzeni tu po 1945 roku, to nasi rodzice i dziadkowie. Temat przesiedleńczy jest wciąż żywy, a im więcej informacji ukazuje się z zakresu osadnictwa, tym częściej docierają sygnały o potrzebie opisanie kolejnych dokumentów i spisania kolejnych opowieści.

Danuta Sroka, Słupsk

Dobre mam teraz życie

- A ja żyję i jestem zdrowa. Dobrze mi teraz. Córki ugotują, podadzą, pomogą mi się wykąpać, bo trochę niesprawną jestem. Posprzątają. Dobre mam życie...



Siedzi przede mną staruszka, drobna i krucha. Siwiuteńkie włosy związane z tyłu w mały kokczek. Ręce nawykłe do pracy, co rusz podrywają się do działania, poprawia fałdy serwetki, chociaż ta leży na miejscu. Czasami zaciska palce spracowanych dłoni na łasce.

Urodziła się 10 marca 1922 roku w niewielkiej wsi Pianki koło Sierpca nad rzeką Skrwą. Ukończyła siedmioletnią szkołę powszechną w Łukowie. Dzieciństwo upływało jej na pomocy rodzicom i opieką nad młodszym rodzeństwem, pasaniu krów, gęsi, co zresztą nie było niczym dziwnym, bo dzieci wiejskie od najmłodszych lat musiały pracować w gospodarstwie. Tak było przed wojną i tak było po wojnie.

Miała siedemnaście lat, gdy wybuchła wojna. Praktycznie to była panna na wydaniu i pewnie tak by się stało, gdyby nie okupacja, która zmieniła życie. Nie tylko jej.

W czasie okupacji w 1941 została wywieziona na roboty przymusowe do Rzeszy. Trafiła do Królewca do niemieckiej rodziny jako niania. Przebywała tam prawie trzy lata. Szybko

nauczyła się niemieckiego. Dobrze była traktowana przez Niemkę, a kiedy zaczęli zbliżać się Rosjanie, brat Niemki kupił jej bilet i wsadził do pociągu. Do Sierpca. Dostała jeszcze gazetę niemiecką, żeby nikt się jej nie czepiał w razie kontroli.

Po powrocie do rodzinnego domu okazało się, że dom jest za mały na tylu dorosłych. Z rodzicami mieszkali jej dwie siostry z mężami i dziećmi. Była dorosła i chciała się usamodzielniać. Wszyscy mówili o Ziemiach Odzyskanych, zachęcano do wyjazdu i osiedlaniu się na nowych ziemiach. Niemców miano wysiedlać za Odrę.

Sąsiad Chojnowski wybierał się, ale w kupie rażniej, więc zaczął namawiać innych, żeby spróbować, pojechać, zobaczyć. Sabina długo się nie zastanawiała i pod koniec 1945 roku z bratem i sąsiadem opuściła rodzinną wieś. Zawsze przecież mogli wrócić. Dojechali do małej stacyjki w Damnicy. Tu dowiedzieli się, że za lasem jest mała wioska Stara Dąbrowa i można się tam osiedlić. Przyjechali, rozejrzeli się i zostali. To było pod koniec 1945 albo na początku 1946 roku. Zamieszkali w domu oznaczonym

numerem dwa - od strony Łebienia. Nie była to duża wieś. Było tu dwadzieścia pięć domów, stosunkowo mało zniszczeń. Tylko kilka domów zrujnował ostrzał artyleryjski. Nie dotarli jeszcze szabrownicy, a Rosjanie przekazali już administrację w ręce Polaków. Rodowici mieszkańcy szykowali się do opuszczenia swoich domów. Mieli już nakazy wysiedleńcze. Czekali tylko na transport. Przybyszy kierowano do domów, które zamieszkałe jeszcze były przez rodziny niemieckie. Jakoś się dogadywali, chociaż nie było łatwo. I jedni i drudzy mieli poczucie krzywdy, a w takich relacjach raczej na przyjaźń szans nie było.

Wkrótce zaczęli przybywać przesiedleńcy zza Buga, Polacy, którzy uciekali przed władzą radziecką. To wśród nich znalazła męża, Józefa, który przybył spod Wilna z dwiema siostrami i tu się osiedlili, po sąsiedzku. Józef objął 12-hektarowe gospodarstwo. Ciężko pracowali. Ona zajmowała się domem i obejściem, on pracował w polu. Pojawiły się dzieci. Lata mijały.

Pani Sabina opowiada o życiu, które wiodła w gminie Damnica.

- Mnie nauczono w domu, żeby ciężko pracować i nie skarżyć się, tylko cieszyć. Po ślubie z Józkiem szybko weszłam w kierat obowiązków w gospodarstwie. Od początku musiałam sobie radzić z pracą w domu: gotowanie, pranie, a jak się pojawiały dzieci to opieka nad nimi. W obejściu - krowy do podojenia, świnie nakarmić, kury i duży ogród warzywny. Nie było żadnych udogodnień. Wodę nosiło się ze studni, grzało na kuchni. A kuchnie były dwie: świńska przy chlewie, gdzie parowały się w kotłach ziemniaki i grzała woda do zaparzania śruty i domowa, gdzie gotowałam obiad. W obu kuchniach paliło się drewnem i trzeba było ciągle dokładać, żeby nie wygasło. Mąż od rana jechał w pole. Zaorać, zabronować... A pług odkładał tylko jedną skibę, to trzeba było wiele razy z tym koniem przejść pole, utrzymać pług, żeby równo szedł. Dużo siły.

A teraz wjeżdża maszyna i kilka razy obróci, bo tych skib zrobi za

jednym obrotem chyba ze dwanaście, człowiek siedzi w kabinie, radio gra, słońce nie pali, bo jest klimatyzacja.

A ja krowy musiałam wydoić ręcznie. Jak się pojawiły dojarki to było źle. Potem mleko przecedzić i zlać do blaszanej kanki, a jak było gorąco to kankę trzeba było zanurzać na łańcuchach w studni, żeby mleko nie skwaśniało, nim zda się do mleczarni. Ze śmietany masło robiło się w domu. Do południa krowy były na kopolu, dostawały świeżo nakoszoną trawę, a po południu to już dzieci pasły na ugorach gromadzkich albo łąkach.

Szły sobie krowy przez całą wieś, porykiwały, za nimi dzieciaki, takie pastuchy. Często krowy palowało się na łące i tylko trzeba je było przepalować od czasu do czasu. Dzieciaki musiały pomagać w polu.

Pani Sabina milknie. Przymyka oczy. Nie przerywam tego milczenia, bo rozumiem, że pod powiekami pojawiają się obrazy. Chyba przyjemne, uśmiecha się bowiem.

- Teraz we wsi już nie ma krów. Ostatnie miała Dobrzańska, ale po śmierci jej też zostały sprzedane.

I ogródek też miałam duży. Wszystkie potrzebne warzywa w nim rosły i kapusta, którą się kisiło w dębowych beczkach. W ogródku musiałam wyplewić, wyhakać i pilnować, żeby kury nie wlażyły i nie rozgrzebały grządek. A teraz trawę posieją i skoszą. A w ogródku tylko kwiaty i małe warzywa. Wszystko można kupić.

Do Słupska rzadko się jeździło, bo to wyprawa na cały dzień była. Autobusy rzadko jeździły. Jak ktoś był nieuważny i na czas nie wykupił biletu, to pieszo musiał wracać. Można było iść do Damnicy i pociągami dojechać do Słupska. Zawsze ktoś wozem jechał po coś i można się było umówić. Rzadko jeździłam.

Józek wracał z pola okurzony, spociny, ale to nie był koniec pracy, bo trzeba było wytrzeć konia, napoić i nakarmić. Dopiero wtedy mógł się obmyć i zjeść. A potem dalej do roboty, bo w takim gospodarstwie nigdy nie miało się wolnego. Zimą trzeba było w lesie drewno urobić, zwieźć, porąbać, żeby przez lato wyschło. A tu jeszcze sąsiedzi prosili o pomoc, bo nie wszyscy mieli konie i maszyny. Nie można było odmawiać. Pomagał komuś nie za pieniądze, ale za odrobinę w czasie żniw. Zebrać wszystko z pola to dopiero sztuka. Skosić związać i zwieźć do

stodoły, wykopać ziemniaki... Oj, kopianie to dopiero była robota. Pamiętam. Motyką na kolanach się szło redliną. Potem pojawiła się gwiazdówka. To już było źle. Koń ciągnął gwiazdówkę, a ona rozsypywała ziemniaki i tylko trzeba szybko pozbierać. Każdy miał przydzieloną działkę. Robiło się to takim kraczakiem, wszystkie jednakowe. A potem znowu zaorać i siać oziminę. Ja nie chodziłam często w pole, ale jak ludzie pracowali, musiałam przygotować podobiadek, obiad i podwieczorek. Często na dziesięć osób. Zanieść na pole. I wszystko w pośpiechu. Czas tak szybko mijał. A roboty prawie nie ubywało. Kiedy skończyła się robota w polu, zaczynała się młócka. Ze zbożem do młyna się jechało i była swoja mąka. Chleb piekłam.

Łżej było, gdy podrastały dzieci, gdy już mogły pomagać. Pilnowały się nawzajem. DREW naniósł, do sklepu podeszły, krowy pasły, i w ogródku pomagały plewić. Dzieci wiejskie też nie miały lekko.

Po chwili ciszy pani Sabina kontynuuje wspomnienia, które się rwą, mieszają, ale przecież to kawał życia, więc trudno wszystko opowiedzieć tak po kolei... Zaśmiała się.

- Było to chyba w czterdziestym siódmym. Wezwali nas do gminy, żeby papiery nadania wypełnić. Poszłam, a tam kolejka! Poprzyjeżdżali z Łebienia, z Nowej Dąbrowy i nasi, a urzędnik tak niemrawo wypisywał, mylił się, nie umiał za bardzo. Chyba nie za bardzo umiał pisać. A w domu dzieciak sam. Spieszyło mi się. Powiedziałam, że mogę to zrobić. Ustąpił, a ja w dwie godziny uporałam się z wypełnianiem. Dobrze pisałam i czytałam, bo miałam siedem klas ukończonych. A wielu miało tylko po jednej albo wcale. Wieczorówki przymusowe zrobili i każdy musiał chodzić do szkoły. Zaproponowano mi wtedy pracę w urzędzie, ale nie miałam czasu. W zimie się douczali.

Pewnie pani Sabina zastanawiała się nad tamtą decyzją. Praca w gospodarstwie to czas nieokreślony, bez wolnych niedziel, świąt i urlopów.

- A jednak - myślę sobie - ludzie żyli lepiej. Byli życzliwsi, otwarci. Wspierali się i pomagali sobie. Na wsi był ruch, sąsiedki wpadały na chwilę coś pożyczyć albo oddać. A wieczorem tośmy się zbierali przy stole i grali w karty, żartowali. Tu na przeciwko była poczta. Naczelnikiem był Troka, żartowniś i śpiewak. Jak tylko usłyszał,

że u nas panuje gwar, natychmiast przychodził. Wyjmował z kieszeni śpiewnik i śpiewał. Musieliśmy mu wtórować, bo nie przepuścił. Dziewczyny to uciekały, bo z tym śpiewaniem nie dawał im spokoju. Czasami nawet się potańczyło, gdy Franek Greinke przyniósł akordeon i zagrał. To był dobry pracowity człowiek. Żona nauczycielka, Natalia, uczyła w tej szkole. A on zawsze po pracy przychodził do nas i pomagał w polu.

Pamiętam nasze pierwsze radio. Przyszedł do nas Kołakowski i coś tam z Józkiem gadali, a potem gdzieś pojechali. Długo ich nie było. Wrócili wieczorem z takim pudełkiem. Mąż wbił w ścianę gwóźdź i powiesił. Kołakowski pokręcił i rozległ się głos. To była uciecha, bo ktoś coś mówił, czasami była muzyka i człowiek wiedział, że gdzieś toczy się życie. To prawda, mieliśmy zaprenumerowane gazety. „Gromada Rolnik Polski” i chyba też dziennik „Głos Koszaliński”. A Kołakowski to był taki sprytny człowiek, że wszystko umiał naprawić i złożyć. Wrócił z Anglii. Żona, pielęgniarka, pomagała Jadczałowi i robiła zastrzyki. Nauczyła się tego w czasie wojny. Umiała postawić bańki. Uczynna taka i miła dla każdego.

W soboty to często organizowano zabawy w świetlicy. Zawsze z prawdziwą muzyką. Raz nawet Cyganie grali. Ale nie podobało mi się to granie, takie smutne. Teraz ktoś przerobił świetlicę na mieszkanie i warsztat. Od Gminy odkupił, bo nie opłacało się remontować. Chodziło się na te zabawy i tańczyło. I siły człowiek miał. I pamiętam, jak kino przyjeżdżało do świetlicy pod kasztanami. Rozwieszano wielki biały ekran i zamykało się okiennice drewniane. Cała wieś przychodziła, a potem był czas na pogaduszki. Wszyscy się znali i rozmawiali o wszystkim.

Teraz na ulicy nikt się nie pojawia, nawet do sklepu podjeżdżają samochodem. I dzieci nie słyszą. Wszyscy siedzą w domach przed telewizorem albo z telefonem.

Dużo się pozmieniało. Nie wychodzę na wieś, bo nie ma po co i już sił nie mam, ale podwórko jeszcze obejść, a na wiosnę to nawet próbowałam plewić w ogródku. Tylko coraz bardziej opuszcza mnie pamięć, wzrok mi też siada, i gorzej słyszę. Najlepiej pamiętam swoje dzieciństwo, mamę, która była wesołą osobą, tatę, który był kilka lat w Ameryce i przywiózł dolar, żeby wyremontować dom. Kiedyś,

przed wojną niepotrzebne były wi-
zy, by tam popłynąć.

Moi rówieśnicy już dawno nie
żyją. Zmarł Chojnowski i jego żo-
na. Nie mieli dzieci. Zawsze razem
jechali w pole i razem pracowali. Nie
żyje mój brat Jeżewski, bo z domu
jestem Jeżewska, chociaż był młod-
szy ode mnie i jego żona też nie żyje.

We wsi był felczer, Jadczak.
Chyba na wszystkie chrzciny prosi-
li go ludzie. Nigdy nie odmawiał po-
mocy. W nocy można było do nie-
go iść. Długo kawalerował, a w koń-
cu przywiózł sobie żonę. Zawsze
w niedzielę spacerowali przez wieś
pod rękę. Było to wtedy dla nas
dziwne. My, ludzie ze wsi, nie uwa-
żaliśmy takich pustych spacerów.
Szło się w pole, żeby obejrzeć jak co
rośnie i zaplanować prace. Do lasu
szło się na jagody i po grzyby, albo
upatrzyć sobie działkę do wyrobu
drewna. A oni spacerowali. Ludzie
plotkowali trochę, a potem się przy-
zwyczajali. Mieli syna. Też już nie ży-
ją. Nawet syn ich zmarł...

Pod koniec lat czterdziestych
przybyli tu Szarkowie. On był listo-
noszem. Zatrzymali się u nas, nim
Niemcy nie opuścili przydzielone-
go im domu. Ona lubiła chodzić do
lasu, szczególnie na grzyby. Zawsze
miała dużo zamarynowanych i na-
suszonych. Kilka razy mnie pora-
towała, gdy musiałam niespodzie-
wanie zrobić wystawniejszy obiad.
Dobra to była kobieta. Też jej się
już zmarło...

Zapada milczenie, pewnie
wspomnienia o sąsiadach, którzy
już odeszli, wywołują refleksję.

- A ja żyję i jestem zdrowa. Do-
brze mi teraz. Córkę ugotują, poda-
dzą, pomogą mi się wykapać, bo
trochę niesprawną jestem. Posprzą-
tają. Dobre mam życie. Siedzę jak
madonna i patrzę w telewizor. Ot,
tu mam cukierki. Landrynki, bo je
najbardziej lubię. A jak Wieśka je-
chała do pracy, to zostawiła mi jesz-
cze ciastko. A zaraz wróci Danka i
pewnie znowu każe mi jeść. Do-
brze mi teraz. Tylko ten wzrok...,
czytać nie mogę. I trochę głuch-
nę. Córkę jeszcze pracują, chociaż
mają już emerytury. Nie wiem dla-
czego. Może do ludzi chcą? We wsi
też cicho, jakby wszyscy wyjechali.
Może i wyjeżdżają do pracy. A kie-
dyś wszyscy się znali i zawsze było
z kim porozmawiać.

Teresa Nowak, Łupawa

Polubiła tak van G

- Zeskrobywałam tę farbę i od nowa mieszałam i nakładałam.
Tak polubiłam to zajęcie, że nie wyobrażam sobie, żebym
przestała malować. Bo to po mnie już zostanie...



23 stycznia w sali Centrum Edu-
kacji i Kultury odbyła się uro-
czystość otwarcia wystawy obra-
zów Lidii Mędrkiewicz, mieszkań-
ki Damnicy. Oficjalnie dokonał tego
dyrektor Centrum Grzegorz Gurlacz
i wójt gminy Damnica Andrzej Kor-
dylas, który wręczył artystce szklane

naczynie z hydroponiczną uprawą
paproci.

Lidia Mędrkiewicz opowiedziała
o swoim spotkaniu z farbami, pędzlem
i sztalugami. To jej pierwsza wystawa
obrazów. Malowała je zainspirowana
dziełami wybitnego malarza holen-
derskiego XIX wieku, Vincentego van

Gogha, że sama zaczęła malować

Gogha (1853-1890). I stąd tytuł „Mój Wincenty”. Zaznaczyła, że nie uważa tych obrazów za wielkie dzieła sztuki, ale praca nad nimi dała jej nadspodziewanie dużo radości, przyniosła wiedzę i doświadczenie, które przyda się przy następnych projektach.

Dlaczego właśnie Vincent van Gogh? - Czytałam biografie wielu malarzy z różnych epok, ale największe wrażenie zrobił na mnie van Gogh. Żył krótko i tworzył tylko dziesięć lat, wliczając w to również naukę, a zostawił po sobie kilkaset dzieł. Niektóre obrazy powstawały w ciągu jednego dnia. Był tytanem pracy, a jednocześnie zmagał się ze straszną chorobą psychiczną i wiele miesięcy spędził w szpitalach. Cały czas na utrzymaniu brata, bo nie kupowano jego obrazów. A teraz na aukcjach osiągają one niesamowitą wartość. No i wydawało mi się, że jego dzieła są łatwe do skopiowania: czyste kolory, zdecydowane ruchy pędzla, żadnych światłocieni. Tak trochę jak malunki dziecięce. Ale się przeliczyłam. Niełatwo tak zdecydowanie pracować pędzlem, a i barwy wcale nie były czyste. Czasami wiele dni zajmowało mi uzyskanie przybliżonego efektu.

Fascynacja twórczością i życiem tego malarza zdecydowała, że pani Lidia podjęła próbę odwzorowania niektórych jego dzieł na swój sposób. Korzystała z pomocy i wskazówek Włodzimierza Lubonia, malarza z Ukrainy, który czasowo przebywa w Słupsku.

W sali konferencyjnej CEiK-u na ścianie wiszą obrazy pani Lidii. Przed obrazami trochę domowych sprzętów oddających atmosferę pokoju z żółtego domu, w którym żył holenderski malarz. Jest stolik z portretem malarza (wzorem był „Autoportret” 1887), autorstwa bohaterki wieczoru, gliniany dzbanek, w nim ołówki, pędzle, dalej proste niebieskie krzesło, na oparciu słomkowy kapelusz. Na siedzeniu krzesła osobiście wyszydełkowana przez autorkę poduszka w kolorach niebieskim, zielonym, żółtym... W dużym wazonie suche trawy i kwiaty. Jest to próba odtworzenia atmosfery pokoju Vincentego van Gogha, takiego, jaki przedstawił na obrazie „Pokój artysty” 1889. Nie zabrakło pięknego albumu poświęconego malarzowi. W tle wybrzmiewało „Bolero” Maurice Ravela.

W grafitowej sukience, eleganckich pantofelkach, z szalem nonszalancko przerzuconym przez ramię, oczywiście w kolorystyce ulubionym przez malarza, w żółte słoneczniki i fioletowe irysy z rumieńcami na twarzy, opowiada ze swadą o swojej malarzkiej przygodzie. Z tłumu dość licznie zebranych ludzi padają pytania, na które artystka stara się odpowiedzieć, ale to raczej niemożliwe, bo pytań jest za dużo i tworzy się chaos werbalny (ja już po kilku minutach przestałam słyszeć, nie mówiąc o zrozumieniu i zanotowaniu). A drobna, szczupła Lidia krąży między ludźmi, podchodząc do obrazu, o który ktoś pyta. I jeszcze nie padła odpowiedź, gdy ktoś inny zwraca się z pytaniem o następny, ktoś chce kupić i pyta o cenę. Goście przemierzają się po sali, wymijają, potrącają, bo każdy chciałby podejść jak najbliżej właśnie tego a nie innego obrazu. I zapytać właśnie o niego. Niektórzy głośno zastanawiają się nad nabyciem dzieła i pytają o ramy i termin, gdy będą mogli wejść w posiadanie.

Miedzy jednymi a drugimi krąży podekscytowana Lidia, opowiadając i odpowiadając, bo o tych obrazach, namalowanych przez siebie i o oryginalnych, wie wszystko. Trochę jest stremowana. Tym bardziej, że nie spodziewała się aż tylu ludzi. Sądziła, że przyjdą tylko najbliżsi znajomi.

Bohaterka wieczoru próbowała opowiedzieć o swojej pracy nad kolejnymi obrazami, o trudnościach z jakimi się borykała, przerywano Lidce, bo tak się do niej zaczęto zwracać. Nic dziwnego, większość publiczności to znajomi i przyjaciele, którzy od lat ją znają. Artystka trochę odetchnęła, gdy goście zostali poczęstowani ciastem, które podawała siostra, Halinka. Nie na długo, bo zaczął się etap „zaklepywania” sobie obrazów.

Lidia Mędrkiewicz zawsze była niezwykle aktywna. Pracowała w gospodarstwie i jako niania. Wiezorami chodziła na próby zespołu tanecznego i chóru, co zresztą czyni do tej pory. Ostatnio uczestniczy w zajęciach kółka „druciarek”, jak nazywają siebie miłośniczki dziergania na drutach. Orzekła, że musi zrobić czapkę dla wnuka, a przy okazji nauczyć się czegoś.

Udziela się jako wolontariuszka przy Gminnym Ośrodku Pomocy Społecznej. Zaangażowała się w akcję „Srebrna sieć” i otrzymała wyróżnienie w roku 2019.

Siostra Halinka, która pomagała jej w organizacji wystawy, powiedziała: - Lidia lubi śpiewać i tańczyć. Uwielbia zwiedzać różne miejsca, oglądać i nigdy nie ma dosyć. Wydawało się, że jak przejdzie na emeryturę to trochę przystopuje. Ale ona szybko stwierdziła, że się nudzi i zapragnęła nauczyć się malować. Chociaż już wcześniej można było zauważyć te predyspozycje, bo często na kartkach ołówkiem lub kredką tworzyła śliczne rysunki. Mnie to nie przeszkadza, ale że Janek zaraził się pasją jeżdżenia po różnych miejscowościach?! Byli w Łupawie i oglądali megality, a potem Lidka malowała. Ja wolę posiedzieć w domu z książką, bo lubię czytać.

Rozmawiam z siostrą panią Halinką, bo na rozmowę z Lidią nie ma szans. To siostra opowiada mi o wielkiej ciekawości świata tej swojej siostry. O niecierpliwości i pragnieniu zobaczenia jak najwięcej, o wrażliwości na przyrodę. Oczywiście też o narodzinach pasji malowania. Zaczęło się to raptem przed czterema lub pięcioma laty, po przejściu na emeryturę. Lidia przez trzydzieści lat opiekowała się dziećmi, indywidualnie, jako niania. Kiedy przeszła na emeryturę stwierdziła, że się nudzi, że nie czuje się szczęśliwa. I mama i ona były przerażone, że wróci do poprzedniego zajęcia - a to przecież duża odpowiedzialność, że znów będzie pilnować cudze dzieci. Ale Lidia stwierdziła, co zresztą wszystkich zaskoczyło, że chce nauczyć się malować. Wsparł ją w tym marzeniu syn. To on kupił na początek niezbędne akcesoria malarskie. Och, Lidia z zapalem zaczęła malować.

Wiele razy przeżywała rozczarowania, zwątpienia. Ale nie poddawała się, bo kartka, pędzel i farby ją przyciągały. Uczyla się mieszania farb, obserwowała zmiany kolorów w miarę jak farby schły. Najpierw były to kartki papieru, potem zdecydowała się na płótno. Próbowała malować z wyobraźni, nie wychodziło jak należy. Niezadowolona, ale nie zniechęcona podejmowała kolejne próby.

Aż doczytała się, że każdy kandydat na malarza zaczyna od naśladowania, odtwarzania innych obrazów. Najlepiej zacząć od pocztówek, widokówek, małych obrazków o prostym rysunku. I wtedy zaczęły się pozytywne efekty. Wzrastało zadowolenie, satysfakcja, ale daleko była droga, by pomyśleć o wystawie. Jednocześnie przeglądała albumy, gromadziła pocztówki i widokówki, oglądała je w świetle dziennym i przy sztucznym. A potem malowała, wykonując szkice lub nie.

- Bo jak mi się wydawało, że jest tak jak należy, to po wyschnięciu okazywało się, że nie!, że to nie ten kolor. Zeskrobywałam tę farbę i od nowa mieszałam i nakładałam. Z bliska też wygląda inaczej, niż z daleka. Tak polubiłam to zajęcie, że nie wyobrażam sobie, że bym przestała malować. Bo to po mnie już zostanie - w głosie słychać pasję, oczy błyszczące, podekscytowana niesamowicie patrzy na wiszące obrazy.

- Chciałabym jeszcze pojechać do Amsterdamu i dokładnie obejrzeć obrazy Wincentego. I to się chyba spełni. Po chwili milczenia stwierdza, że może wreszcie zacząć malować własne wizje.

Lidka ma w sobie niesłychane pokłady optymizmu. Jest otwarta na świat i ludzi, co wśród emerytów nie jest zjawiskiem powszechnym. W jej towarzystwie nabiera się ochoty na aktywność, na robienie czegoś, na poszukiwanie radości.

* * *

Dyrektor CEiK Andrzej Gurłacz jest dyrektorem otwartym na inicjatywy mieszkańców. - Po to jest ta instytucja - stwierdził. - Odbyły się tu już trzy wystawy indywidualne. Pierwszą była wystawa Mirosława Łukasika, artyście ze Starej Dąbrowy, marynarza, taksówkarza, parającego się malarstwem i rzeźbą. Druga wystawa to „Portrety” Joanny Sobolewskiej. Trzecia - „Anioły” Ani Kaczmarczyk. A Lidki Mędrkiewicz to czwarta. Za miesiąc swoją wystawę przygotowuje pani Stanisława Luhm. Jak wieść niesie jeszcze jest w planie wystawa haftów, a i „Druciarki” chciałyby pokazać swoje dzieła uplecione z włóczek za pomocą drutów.

Teresa Nowak, Łupawa

Czarny Anioł z wileńskiej Rossy

Działo się na brastawszczyźnie, bliskiej memu sercu. Od tamtej daty minęło ponad sto dwadzieścia lat, historia obrosta legendą, dlatego nie wiem, co jest prawdą, a co skrzętnie skrywaną prawdą. Sięgam do źródeł, ksiąg genealogicznych powołujących się na dokumenty, że już u źródeł następowała swobodna interpretacja rzeczywistości.

Witold Salmonowicz, autor internetowej publikacji „Drzewo genealogiczne Salmonowicz h. Szaszor (Orla, Opala, Odrza)”, wyznaje: „Urodziłem się w Wilnie - wg metryki 2 lutego 1940 r., ale wg przekazu ustnego Matki - 2 grudnia 1939 r. Rodzice i chrzestni „uradzili”, żeby przy chrzcie, który odbył się pół roku po urodzeniu (już siedziałem na rękę) podać datę późniejszą, by „miał dłuższe dzieciństwo, rok później poszedł do wojska” itp. I tak się stało - w metryce chrztu wpisano inną niż prawdziwą datę urodzenia. Nie dziwię się i nie mam za złe, była to dość powszechna praktyka. Moja data urodzenia też jest niejasna.

Majątek Podziśnie kupił od Czapieńskich Dominik Salmonowicz, stolnik brasławski w około 1764 roku i od tamtego czasu posiadłość pozostaje w rodzinie. W 1828 w majątku tym urodził się Zygmunt Jan Wincenty Salmonowicz, późniejszy właściciel, od 1860 mąż Konstancji z Gromadzkich, ojciec Marii, Karola, Zofii, Heleny, Anny, Izabelli (18.09.1877) i Józefa. Biograf rodziny cytuję m.in.: „Protokół Pierwszego Posiedzenia Komitetu Redakcyjnego Wydawnictwa Drukarni Obywatelskiej w Wilnie pod firmą A.H. Kirkora i sp-ki z dnia 1 lipca 1859 r. Ziemianie, w tym Czapski, Ogiński i Z. Salmonowicz: „gorliwi o rozpowszechnianie światła wiedzy gruntownej, zamierzili założyć w Wilnie drukarnię, składając na ten cel pieniądze w rodzaju pożyczki”. Zygmunt Salmonowicz był inicjatorem wielu przedsięwzięć kulturalnych w Wilnie. Zmarł 26 kwietnia 1886 roku w Wilnie, został pochowany na cmentarzu Stara Rossa w Wilnie.

Jak nieprzewidziane są dzieje, świadczy historia rodziny, której znakiem stała się cmentarna rzeźba Czarnego Anioła na wileńskiej Rossie. Izabella, córka Zygmunta, znana głównie jako Iza Salmonowiczówna według rodzinnej legendy była mało znaną młodopolską poetką, piękną panną, która zawróciła niejednemu paniczowi w głowie. Zmarła 16 maja 1901 roku w wieku 24 lat. Metryka z ksiąg parafialnych kościoła św. Jana w Wilnie jako przyczynę zgonu podaje „z powodu wady serca”. Nieoficjalne źródła nie dowierzają tej przyczynie, uznając jednak powody sercowe. Dalszą część historii zapisano w kształcie cmentarnego pomnika.

Pomnik Izy Salmonowiczówny na cmentarzu Rossa w Wilnie stanął obok pomnika jej ojca Zygmunta Salmonowicza. „Anioła śmierci”, na zlecenie rodziny, głównie brata Karola, wykonał znany warszawski rzeźbiarz Leopold Wasilkowski, którego ocalałe nagrobki znajdziemy na warszawskich Powązkach, wileńskiej Rossie i cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Inne rzeźby artysty przepadły wraz z budynkami, których były ozdobą.

W 1903 roku wykonano odlew rzeźby Czarnego Anioła w zakładzie braci Łopieńskich w Warszawie. Pomnik stanął na grobie Izy Salmonowiczówny, stając się najdroższym i najbardziej znanym znakiem Rossy - spośród 26 tysięcy nagrobków, pomników i grobowców posadowionych na malowniczych pagórkach porośniętych brzoza i dębami na powierzchni ponad 10 hektarów.

Za oficjalną datę założenia cmentarza uznaje się rok 1801. Rossa stała



się nekropolią, miejscem wiecznego spoczynku osób wybitnych i zasłużonych dla historii miasta. Najbardziej znany i powszechnie odwiedzany jest pomnik „Matka i serce syna”, przed wejściem na Rossę, kryjący serce Józefa Piłsudskiego i grób jego matki. Na Rossie znajdują się groby siostry i pierwszej żony Marszałka, pomnik Joachima Lelewela (nauczyciela Adama Mickiewicza), Euzebiusza Słowackiego (ojca Juliusza), malarza i kompozytora Mikołaja Konstantego Cziurlionisa, twórcy niepodległej Litwy Jonasa Basanawicziusa, historyka Balysa Sruogi, poety - romantyka Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli), rzeźbiarza Antoniego WTWulskiego, malarza i rysownika Franciszka Smuglewicza, lekarza Rafała Radziwiłłowicza (pierwowzór doktora Judyma z „Ludzi Bezdomnych”).

Lucjan Rydel tak pisał o Rossie: „Cmentarz jest rozległy i dziwnie piękny. Samo jego położenie niezwykłe: rozkłada się on tarasowato na stoku dość pochylego pagórka. Osobny urok nadają mu rozłożyste stare drzewa, rosnące gęsto i nieregularnie, jak w lesie. Między nimi wiją się swobodnie, wspinają w górę i schodzą w dół ścieżki, snujące się kręto wśród mogił. Tak przynajmniej wygląda najstarsza, najrozleglejsza, trochę dzika i właśnie dlatego najpiękniejsza część tego leśnego cmentarza. Latem, kiedy przez konary okryte gęstwą liści ledwie przedzierają się słoneczne promienie, w gałęziach rozśpiewują się ptaki, a ziemia okryje się kwieciami leśnymi, precudny musi być ten cmentarz na Rossie.”

Około 120 metrów na południowy wschód od bramy głównej, nieopodal neogotyckiej kaplicy, tuż nad wysokim stromym

zboczem stoi wysoki, pięciometrowy pomnik Izy Salmonowiczówny. Ma postać smukłej figury anioła z brązu z uniesionymi stopami, rozwianą szatą, utrefionymi włosami, wzlatującego nad dwumetrowy cokół, z którym łączy go tylko fałd szaty. Anioł wznosił skrzydła, zerwał łańcuchy - ziemskie okowy, a jednak nie odfrunął.

W środku zachodniej części postumentu wysoko znajduje się poziomy wgłębiony krzyż z leżącym kwitem lilii, niżej w środkowej części postumentu artysta umieścił proste epitafium: „Ś.p. Iza Salmonowiczówna ur. d. 18 września 1877 r. zm. d. 16 maja 1901 r.” Na postumencie znajduje się też nazwisko autora, data wykonania odlewu i nazwa pracowni odlewniczej: „Wasilkowski Warszawa 1903 r. oraz „Odlew Br. Łopińskich Warszawa.”

W 1992 roku Czarny Anioł został wpisany do litewskiego państwowego rejestru zabytków chronionych. Niestety, ponad 100-letni pomnik był zniszczony, a pęknięcie podstawy groziło zwaleniem się rzeźby. Do uratowania pomnika przyczyniły się starania Alicji Klimaszewskiej, prezesa Społecznego Komitetu Opieki nad Starą Rossą. Własnymi środkami oraz przy wsparciu finansowym Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” rozpoczęto prace restauratorskie i konserwatorskie pomnika z brązu i labradorytu autorstwa słynnego warszawskiego artysty rzeźbiarza Leopolda Wasilkowskiego (1865-1929). Zadanie wykonał zespół polskich fachowców. Prace wartości 130 tys. złotych sfinansowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego Polski. Dziesiątego października 2014 roku przy odnowionym i zabezpieczonym pomniku odbyła się uroczystość odsłonięcia go po zakończeniu prac restauratorskich.

Byłam na Rossie we wrześniu 2019 roku. Nie sposób jednak w dużej grupie w krótkim czasie dotrzeć do wszystkich pomników. Czarny Anioł zachwyca artyzmem rzeźby, zapisaną w nim historią epoki, rodziny, jednostkowego losu. Zapisana w cmentarnych kamieniach historia jest jak rozłożona księga pisana życiem wielu wybitnych i zwykłych ludzi. Pozostaje jedynie wspomnieć wszystkich: Wieczny odpoczynek.

**Czesława Długoszek
Objazda**



Dziadek Tadek i Bałtyk

- Stałem nad brzegiem morza. Nigdy nie widziałem takiej wody. Zanurzyłem dłoń i przyłożyłem do ust. Była słona.

Przypomina mi się opowieść mojego dziadka Tadeusza o tym, jak po raz pierwszy zobaczył nasze morze... Nie był wtedy dzieckiem, a jego droga do Bałtyku wcale nie była zwyczajną podróżą.

Dziadek urodził się w 1922 roku na Wołyniu, w okolicach Kowla. Teraz jest to Ukraina, ale wtedy były to wschodnie kresy Rzeczypospolitej. Wioska nazywała się Peresieka. Tam uczył się w szkole powszechnej i pomagał w gospodarstwie rolnym rodziców. Gdy wybuchła wojna i wkroczyli Rosjanie, dziadek w 1940 i 1941 roku musiał przymusowo pracować przy budowie radzieckich fortyfikacji wojskowych. W lecie 1941, po okupacji sowieckiej nastąpiła okupacja niemiecka. W 1942 dziadka wysłano do Kowla, gdzie musiał pracować w niemieckiej łaźni wojskowej do marca 1943 roku. W tym czasie Niemcy zaczęli ponosić klęski na froncie wschodnim. Ponieważ groziło mu wywiezienie na przymusowe roboty do Niemiec, uciekł do domu i ukrywał się do sierpnia. W obliczu strasznych zbrodni dokonywanych na ludności polskiej przez oddziały UPA, dziadek Tadeusz ze swoim bratem Janem trafił do 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Brał udział w licznych walkach z banderowcami, broniąc polskiej

ludności. Opowiadał czasem o męczących marszach w terenie, zmianach placówek i walkach. W jednej, w bitwie pod Różynem, został ranny w rękę. Kulą przeszła na wylot. W lutym 1944 dziadek mocno zachorował, wtedy dowódca oddziału polecił wszystkim chorym wracać do domu, gdyż oddział czekały długie marsze i trudna sytuacja. Potem brat dziadka opowiadał o ciężkich walkach i stratach jakie ponieśli, gdy znaleźli się w okrążeniu. Dziadek wrócił do domu i lekarz w Kupiczowie stwierdził u niego tyfus. Leczenie trwało długo, gdy wyzdrowiał, przez Kowel przebiegał front. W mieście byli Sowieci. Miał wtedy skończone 21 lat. Ponieważ nie udało mu się dołączyć do swojego oddziału, stanął przed wyborem: iść do Armii Czerwonej czy Ludowego Wojska Polskiego. Wybrał Wojsko Polskie. Tak trafił do Kiwerc. Potem pociągiem przywieziono go do Równego. Następnie była podróż pociągiem przez osiem dni i nocy na wschód Ukrainy, do Sum. Został przydzielony do 4. Dywizji, 12. Pułku Piechoty I Armii Wojska Polskiego. Na linię frontu trafił w sierpniu 1944 pod Warszawą. W stolicy trwało powstanie. Dziadek wiedział, że do Ludowego Wojska Polskiego trafiło wielu akowców. Mówił, że wśród żołnierzy było postanowienie, że gdyby chciano ich rozbroić - nie oddadzą broni! Dopiero we wrześniu jego dywizja przeszła chrzest bojowy i wyzwalała warszawską Pragę. 17 stycznia 1945 oddziały sforsowały Wisłę i rozpoczęła się wojenna wędrówka dziadka na północny zachód Polski. Nie zdawał sobie sprawy, że zmierza z frontem w stronę Bałtyku.

Nie była to spokojna wędrówka. Dziadek opowiadał o strasznych walkach o Wał Pomorski, o Złotów, Jastrowie, Podgaje, Nadarzyce. Spod Świdwina jego dywizja została przetransportowana samochodami do wioski Zieleńciewo. Stamtąd ruszyła na Kołobrzeg. W swoich wspomnieniach dziadek napisał: „...Nasz atak zaczął się od prawej

strony, przez kołobrzeski cmentarz, tor kolejowe na koszarach. Pod wieczór byliśmy na brzegu parku od strony morza. Tam do rana leżałem w okopie. Rano zostaliśmy ściągnięci do parowozowni w celu ochrony sztabu pułku. Mój okop znajdował się pod torem kolejowym, na którym stały wagony towarowe. Przed wieczorem Niemcy zaczęli strzelać z broni rakietowej od strony morza. Wagony się zapaliły. Myślałem, że tu będzie mój koniec. W nocy zostałem zmieniony. Położyłem się spać w hali parowozowni. Spało tam dużo naszych żołnierzy zmęczonych po walce. Nad ranem usłyszałem ten sam zgrzyt od strony morza. W tym momencie wszystko zaczęło się walić. Pocisk trafił w halę. Posypały się cegły z tynkiem. Zostałem zawalony. Gdy z trudem wydostałem się z gruzu, miałem bardzo stłuczone nogi. Dostałem dwa dni zwolnienia. Wieczorem, 17 marca dołączyłem do oddziału. Do taborów przyszedł dowódca dywizji, pułkownik Wariończyk. Powiedział, że wszyscy idą na pierwszą linię, bo pułk ma duże straty, jest wielu poległych i rannych. Po tych słowach dowódcy wszyscy poszli do ataku. 18 marca 1945, po jedenastu dniach ciężkich walk o miasto, nasza dywizja dotarła do portu. W nim było dużo Niemców. Podnosili ręce do góry i krzyczeli, trzęsąc się: „Hitler Kaput!”. Stałem nad brzegiem morza. Nigdy nie widziałem takiej wody. Zanurzyłem dłoń i przyłożyłem do ust. Była słona.”

Ponieważ żołnierze 12. Pułku Piechoty, w którym służył dziadek, jako pierwsi dotarli do morza, nazwano go „kołobrzeskim”. Dziadek w swoim pamiętniku odnotował jeszcze: „Przed południem odbyły się zaślubiny z morzem. Najpierw była polowa msza święta, potem wręczano odznaczenia. W dno Bałtyku wetknięto biało-czerwoną flagę. Żołnierz z 3. Dywizji Piechoty wrzucił w morze pierścień. Wtedy oddaliśmy trzy salwy ze wszystkich rodzajów broni.”

Takie było pierwsze spotkanie mojego dziadka Tadka z morzem. Wtedy zadawał sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś tu wróci, i w jakich okolicznościach? Po walkach o Kołobrzeg z dywizją ruszył na Berlin. 17 kwietnia forsował Odrę. 28 kwietnia, 45 kilometrów za okrażoną stolicą III Rzeszy, podczas artyleryjskiego ostrzału został ciężko ranny. Potem okazało się, że do końca wojny zostało zaledwie dziesięć dni, a on walczył o życie! Najpierw na dwa tygodnie trafił do polowego szpitala w Bisenthalu. Uznano tam, że jego ręka ze strzaskanym odłamkami łokciem nadaje się tylko do amputacji. Wyprosił, aby mu ją pozostawiono. Potem lekarz powiedział, że kiedy został ranny i leżał półprzytomny, spływająca krew obmywała ranę, przez co nie wdała się gangrena. Cud, że nie wykrwawił się na śmierć. Wojna się skończyła i rannych żołnierzy przewieziono do Bydgoszczy. Tam leczenie dziadka trwało prawie dziewięć miesięcy. Ręka już nigdy nie była sprawna. Nie mógł jej ani wyprostować, ani podnieść. Dziadek pozostał inwalidą do końca życia. Po wyjściu ze szpitala powrócił do rodziców, którzy w lutym 1945 zostali ewakuowani z Wołynia i osiedleni we wsi Kosyń, niedaleko Włodawy. Wszyscy cieszyli się, że dziadek powrócił z wojny żywy, choć kaleki. W Kosyniu ożenił się, urodziły mu się dzieci, wybudował dom. Wydawało się, że na stałe pozostanie w Lubelskiem. A jednak w 1958 roku sprzedał dom i wyjechał na Ziemię Odzyskane, do podśląskiej Kobylnicy - dwadzieścia kilometrów od Bałtyku. Łatwo mógł teraz pojechać nad morze! Pamiętam też naszą rodzinną wycieczkę do Kołobrzegu. Kiedy zwiedzaliśmy katedrę, dziadek wspominał, jak była zrujnowana, jak zniszczone było całe miasto. Mówił o swoim pierwszym spotkaniu z Bałtykiem. Lubiał wyjazdy nad morze. Babcia Zosia opowiadała, że kiedy byli w Ustce na początku lutego 2014 roku, długo spacerował po promenadzie. Mimo zimowego chłodu nie chciał wracać. Prosił mojego stryja, żeby poszli jeszcze na molo, ale stryjek nie chciał iść. Dziadek jeszcze chwilę w zamyśleniu patrzył na morze. Tydzień później już go z nami nie było.

Katarzyna Sochaczewska, Kobylnica

Praca nagrodzona w Ogólnopolskim Konkursie Dziennikarskim o „Laur Słupskich Kotwic”.

Zrewitalizowane organy

Wielkie wzruszenie przeżywała wspólnota parafialna kościoła Mariackiego w Słupsku i zaproszeni goście w niedzielę, 15 grudnia ub. roku. Nastąpiło uroczyste oddanie i poświęcenie zrewitalizowanych organów.

Kościół pw. Najświętszej Marii Panny Królowej Różańca Świętego w Słupsku przeżywa renesans. Najbardziej reprezentacyjna, historyczna świątynia Słupska - typowa dla gotyku pomorskiego, składająca się z trójnawowego i pięcioprzęsłowego korpusu oraz niższego dwuprzęsłowego prezbiterium i wieży, została w ostatnich latach poddana pełnej rewitalizacji i pracom konserwatorskim. Teraz dokonano udanej rewitalizacji, a faktycznie odbudowano całkowicie organy, które stanowią „duszę tego kościoła”.

Proboszcz ks. dziekan Zbigniew Krawczyk podjął się wszechstronnych starań, by świątynię szczególnie ożywić. Stare 28-głosowe organy były awaryjne i zniszczone przez uszkodzenia - malutkie kołatki, które przez wiele lat pożerały drewno.

Proboszcz znalazł sojuszników i zrewitalizował zniszczony zębem czasu instrument. Do realizacji swojej koncepcji pozyskał przychyłność m.in. Bogdana Narlocha - wybitnego organisty, wirtuoza, profesora gry organowej w Akademii Sztuki w Szczecinie i dyrektora artystycznego międzynarodowych festiwali organowych w Koszalinie i Słupsku. Był on nie tylko inicjatorem i pomysłodawcą odbudowy organów, ale podjął się pośredniczenia przy wyszukiwaniu i zakupie 44-głosowych organów z roku 1956 z kościoła św. Marcina we Frenburgu, za kwotę 20 tys. euro, które można było przenieść do Słupska.

Swoje zasługi ma również Jerzy Kukła z Lublina - organista, wirtuoz, dyrygent, publicysta muzyczny i organizator życia muzycznego. Jest on właścicielem firmy, która z kolei podjęła się zainstalowania i doposażenia organów, a także ustalenia właściwej ich intonacji i brzmienia.

Ważni byli jeszcze sponsorzy, bo całkowity koszt przedsięwzięcia wyniósł ponad 900 tysięcy złotych! Jeden z anonimowych darczyńców przekazał 100 tysięcy. Miasto Słupsk - 210 tysięcy. Pozostałe koszty ponieśli parafianie i inni ofiarodawcy.

W efekcie powstały organy, które głosowo są największe w diecezji



Fot. Archiwum Autora

koszalińsko-kołobrzesckiej. Uroczystość ich poświęcenia odbyła się w niedzielę, 15 grudnia podczas mszy świętej celebrowanej przez biskupa Krzysztofa Zadarko, przy udziale wielu wybitnych gości oraz pełnego kościoła wiernych. Biskup pobłogosławił nowy instrument, następnie Jerzy Kukła zagrał koncert, na który złożyły się utwory Leona Boellmanna (1862-1897), Johanna Sebastiana Bacha (1685-1750) i Ferenc Liszta (1811-1886).

Jerzy Kukła wyjaśnił po koncercie, że zrewitalizowane organy mają 54 głosy, 3 manualy i pedały. Ich podstawowym elementem są 44-głosowe organy, zakupione z kościoła we Frenburgu. Ale zostały zamontowane też najwartościowsze głosy ze starych, poprzednich organów. Nowe organy mają duże walory brzmieniowe, wzbogacając słupską świątynię i umożliwiając wykonywanie wielkich utworów muzycznych.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Teatr, w którym warto bywać

– To był wspaniały rok dla Nowego Teatru w Słupsku – poinformował na podsumowaniu 2019 roku dyrektor Dominik Nowak. – Największym sukcesem o randze ogólnopolskiej było nagrodzenie na Festiwalu Szekspirowskim „Kupca weneckiego”, co zbiegło się z obchodami 15-lecia działalności i budową nowej siedziby teatru.



Teatr Nowy im. Witkacego w Słupsku zagrał w 2019 roku 231 spektakli, 160 w Słupsku i 71 na wyjeździe, przy frekwencji w siedzibie na poziomie 79,35 procent. Spektakle w Słupsku obejrzało blisko 29 tysięcy widzów, a na wyjeździe ponad 30 tysięcy. Wystawiono 6 premier z najważniejszą i najgłośniejszą – „Kupca weneckiego” w reżyserii Szymona Kaczmarka, w lutym. W kwietniu zaproponowano widzom „Pomoc domową” w reżyserii Alberta Osika, a miesiąc później – klasyczną komedię na małej scenie – „Wykrywacz kłamstw” w reżyserii Dominika Nowaka.

Nowy sezon rozpoczęto wspólnym spektaklem „M-2” w

reżyserii Darii Kopiec. Następnie odbyła się premiera spektaklu „Made in USA” w reżyserii zbiorowej pod przewodnictwem Wiktora Rubina, a rok został zakończony spektaklem dla młodzieży „Pasztety, do boju!” w reżyserii debiutującej Nataszy Sołtanowicz. Należy nadmienić, że ten ostatni spektakl był zrealizowany wspólnie z Gminą Postomino. W grudniu został przygotowany też dodatkowy program mikołajkowy dla najmłodszych widzów pod opieką artystyczną Magdaleny Płanety.

O „Kupcu weneckim”, nagrodzonym Złotym Yorick’em na Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku krytyk teatralny Piotr Wyszomirski w Gazecie

Świętojańskiej napisał: „Zakwalifikowanie się tego spektaklu do finału Konkursu Szekspirowskiego należy uznać za największy sukces artystyczny Nowego Teatru w całej jego historii.” Spektakl otrzymał dziesiątki entuzjastycznych recenzji w ogólnopolskiej prasie. Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku pojawił się w rankingach teatralnych wśród najlepszych scen w kraju.

Pochlebne były recenzje innych krytyków. Łukasz Rudziński w Miesięczniku Teatr, w recenzji zatytułowanej „Festiwal wykorzystanych szans” napisał: „Dla Nowego Teatru to forma zaproszenia do teatralnej ekstraklasy, dla jego zespołu dowód, że dobry teatr może powstać z dala od wielkich ośrodków i uwagi mainstreamowych mediów, a dla widzów potwierdzenie, że mają w Słupsku zauważony i doceniony w kraju teatr, w którym warto bywać”.

Z kolei Łukasz Drewniak na portalu: teatralny.pl recenzował: „Na takie spektakle jak ten czeka się czasem nawet dekadę. [...] Słupski „Kupiec wenecki” okazał się objawieniem minionego roku. Nie tylko wykroczył poza szekspirowską sztafpe, ale i podarł przy okazji parę klisz na temat teatru prowincjonalnego i jego szans na ogólnopolską recepcję”.

Dodam, że zainteresowanie „Kupcem weneckim” Williama Shakespeare’a w słupskim teatrze pobilo wszelkie rekordy frekwencji. Dyrektor Dominik Nowak zaproponował powrót do klasyki, do szczytowych osiągnięć w twórczości komediowej Shakespeare’a, i opłaciło się.

Odrębną misją słupskiego teatru jest edukacja i są działania okołoteatralne. W roku 2019 kontynuowano działania edukacyjne zapoczątkowane w latach wcześniejszych, a także dodatkowo do istniejącej oferty włączono wiele nowych propozycji. Wystarczy powiedzieć, że przygotowano ponad 100 wydarzeń edukacyjnych i akcji kulturalno-oświatowych. Teatr stworzył Sieć Liderów Kultury w powiązaniu z lokalnymi szkołami i bierze udział w ogólnopolskich programach. W Archan-gielsku, w listopadzie zaprezentował efekty swoich działań edukacyjnych na naukowo-praktycznej konferencji „Teatr i teatralność w kulturze współczesnej”. Od marca zrealizowano 30 spotkań w ramach akcji „Czytamy z dobrą energią”. Ich



Fot. P. Stępień

partnerem była słupska firma ENGIE EC Spółka z o.o.

Lekcje edukacyjno-teatralne realizowano początkowo w siedzibie teatru, a później w szkołach. Uczniom zaproponowano także cykliczne spotkania w ramach Klubu Recenzenta i grupy warsztatowe prowadzone przez aktorów teatru. Cyklicznie pokazywano też spektakle z tłumaczeniami na język angielski i niemiecki. Zwiększyło się grono przyjaciół teatru - wolontariuszy i stażystów, którzy pomagali podczas organizowanych przez teatr wydarzeń.

Na 15-lecie Nowego Teatru została wydana książka Alicji Syty „Piękne szaleństwo. 15-lecie Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku”. Przeprowadzono szereg warsztatów i animacji dla dzieci i młodzieży. Teatr udostępniał swoje pomieszczenia i można było umówić się na zwiedzanie. Raz w miesiącu, w ramach akcji „Niania w teatrze”, widzowie mieli możliwość przyjścia z dziećmi i pozostawienia ich pod opieką animatorów na czas trwania spektaklu.

Po raz drugi zorganizowano Festiwal Scena Wolności, tym razem pod hasłem „Transformacja”. Zbiegło się to z obchodzoną trzydziestą rocznicą przemian ustrojowych w Polsce. Pokazano najgłośniejsze spektakle ostatnich lat, m.in. „Naszą klasę” w wykonaniu Teatru Dramatycznego z Warszawy, „Broniewskiego” w wykonaniu Teatru Wybrzeże z Gdańska, warszawski „Pożar w Burdelu”. Do ciekawych można zliczyć Dom Spotkań z Historią w Warszawie i z absolwentami Rosyjskiego Instytutu Sztuk Scenicznych w Petersburgu. Została wydana gazetka festiwalowa, która spotkała się z takim zainteresowaniem, że kontynuowano jej wydawanie w formie miesięcznika.

Kolejna edycja Festiwalu Scena Wolności w 2020 roku opierać się będzie o idiom „Cud nad Wisłą”. Zaplanowano następujące premiery: w lutym - farsy „Żona potrzebna od zaraz” w reż. Dominika Nowaka, w kwietniu spektakl realizowany wspólnie z Festiwałem Nowe Epifanie w Warszawie - „Wzór na pole trójkąta” w reżyserii

Jana Hussakowskiego. Na początek czerwca zaplanowano wystawienie sztuki „Stolp. Dzień kobiet” w reż. Julii Mark.

Nowy sezon teatr rozpocznie już w nowym budynku premierą „Szewców” w reż. Pawła Świątka, a rok planuje zamknąć premierą „Opowieści wigilijnej” na podstawie powieści Charles’a Dickens’a.

We wrześniu teatr otrzyma nową siedzibę zbudowaną od podstaw. Będzie posiadał własny budynek ze sceną i widownią na 250 miejsc. Dodatkowo - sale prób i sale warsztatowe, foyer z kawiarnią, pełne zaplecze techniczne, biurowe oraz pokoje aktorskie z tarasami na dachu. Uroczyste otwarcie nowej siedziby zaplanowano na 5 września, na rozpoczęcie nowego sezonu ze wspomnianą już premierą „Szewców” Witkacego. Najważniejsze, że po 15-tu latach działalności Nowy Teatr zyska wreszcie nowe możliwości do realizacji ambitnych planów artystycznych.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



„W małym dworku”

Kilkakrotnie oglądałem w teatrach sztukę „W małym dworku” Stanisława Ignacego Witkacego – najczęściej wystawianą i najbardziej chyba rozumianą przez przeciętnego widza. Wielce popularny i dostępny dla wszystkich teatr telewizyjny przygotował też premierowy spektakl tej sztuki, najlepszy jaki dotąd oglądałem.

Przygotowane przez telewizję przedstawienie to zasługa przede wszystkim Jana Englerta, autora scenariusza i reżysera spektaklu. Potrafił perfekcyjnie oddać klimat sztuki, przekazać groteskę w sposób abstrakcyjny, absurdalny i ironiczny. Jan Englert jest zasłużonym reżyserem, dla TVP pracuje już ponad 55 lat. Wielkie jego doświadczenie teatralne przejawia się w każdej scenie spektaklu, w atrakcyjnie przyjętej konwencji, dobrej obsadzie oraz umiejętnej grze aktorskiej. Nawet w scenografii, która dodatkowo fabularyzuje tę inscenizację.

Ciekawa była przyjęta koncepcja. Jan Englert tak ją uzasadnia: - „Witkacy wymaga abstrakcyjnego myślenia, myślenia ironicznego, myślenia nie wprost. (...) Ja bardzo sobie cenię to przedstawienie, z tego względu właśnie, że trzeba było od samego już scenopisu, scenariusza myśleć językiem filmowym, a nie teatralnym czy literackim; myśleć, jak to opowiedzieć, żeby było interesujące dla widza, który w tej chwili śledzi wszystko fabularnie.”

„W małym dworku” to najczęściej wystawiany dramat Witkacego. Napisany został w 1921 roku, wydany dopiero w 1948, a grany jeszcze - trzykrotnie - za życia autora. Przyczyną popularności jest zapewne jego prostota w porównaniu z innymi dramatami

tego pisarza i artysty. Nie ma tu filozoficznych czy historiozoficznych „dysput” i dlatego jest bardziej czytelny. Akcja dramatu rozgrywa się w wiejskim majątku na kresach Polski. Bohaterami są: owdowiały dziedzic Dyapanazy Nibek, jego córki - Zosia i Amelka, kuzyn Jęzory, kuzynka Aneta, oficjaliści Kozdroń i Maszejko, pracownicy majątku. Witkacy za młodu często przebywał u rodziny na wsi i podpatrzył codzienne, sielankowe życie w majątku u wujostwa. Podglądał zachowanie służby, guwernantki uczące dzieci właścicieli, przebywających gości, przysłuchiwał się rozmowom, obserwował miejscowe skandale, nawyki i obyczaje. To wszystko zawarł w swojej sztuce, dodając akcji dramaturgii i swoistego języka.

- „Nazwisko Witkacego powoduje panikę i wszyscy uciekają od kas. Nie chcą oglądać Witkacego, nie chcą czytać Witkacego, nie do końca go rozumieją - podkreślał przed premierą Jan Englert. - Ja tego nie oceniam. Można by się zastanawiać, dlaczego Witkacy wymaga abstrakcyjnego myślenia, myślenia ironicznego, myślenia nie wprost? A my w dzisiejszych czasach mamy z tym pewien kłopot. Wszystko jest dla nas w proporcjach jeden do jednego; właściwie rozmawiamy emotikonami a Witkacy się emotikonom wymyka. (...) Tam pada jedno zdanie,

które w moim wieku jest już dość istotne: „Jeśli tamten świat jest taki sam jak ten - to, po co to wszystko?” Chyba w tym się zawiera to wszystko, co towarzyszyło Witkacemu cały czas. (...) Witkacy niczego się tak nie bał jak masy mordującej indywiduum.”

Rolę poety Jęzory Pasiukowskiego zagrał Przemysław Stippa. Tak scharakteryzował spektakl: - „Dla mnie jest to niezwykle poetyckie przedstawienie, mam poczucie, że przypomina mi ono bardzo wiersz - skondensowany, z szeroką perspektywą, z jaką Witkacy obserwuje świat. To nigdy nie jest mówienie wprost - zawsze jest tu przeniesienie, dowcip, dystans, szaleństwo. (...) Dzisiaj Witkacy może boleć, może być trudny do zrozumienia. Może być kłopotem dla ludzi, którzy chcą mieć tzw. „święty spokój”. Tego „świętego spokoju” nigdy w działaniu i twórczości Witkacego nie było - i to widać w całej jego twórczości.”

Zagrana przez P. Stippa rolę można ocenić jako wyjątkową. „Poeta Jęzory Pasiukowski potraktowany został z łagodną ironią, a cała zabawa polega na rozmontowaniu konwencji psychologicznego dramatu rodzinnego, którego korzeni należałoby szukać u Ibsena, bezpośredniej zaś inspiracji w popularnej w międzywojniu sztuce Tadeusza Rittnera „W małym domku” - można było przeczytać w zapowiedzi sztuki.

Beata Ścibakówna zagrała postać nieżyjącej, acz zjawiającej się na jawie żony Dyapanazego, Anastazji Nibek. - „Widmo tutaj było bardziej rzeczywiste - zresztą, jak samo o sobie mówi „Je i pije” - czyli jest bardziej ludzkie. W pewnym momencie powiedział o sobie, że jest gdzieś tam człowiecze i nie kłamie - zwierzyła się aktorka. Postać widma Anastazji Nibek dodaje szczególnej dramaturgii sztuce i jest niezwykle. „Wszystko byłoby tak jak w wielu sztukach międzywojennych, gdyby nie widmo Anastazji Nibek, które pojawia się we dworze. Widmo nie dość, że pije kawę i wiśniówkę, to jeszcze nie pojawia się po to, by ujawnić skrywaną prawdę (jak by się należało spodziewać), ale żeby pokazać, że prawd jest kilka. Jak umarła Anastazja? Na raka czy zastrzelona przez męża? Kogo kochała? Męża, Jęzorego czy Kozdroń? Wszystkie warianty są prawdziwe” - można było też przeczytać w zapowiedziach sztuki na internetowej stronie Teatru Telewizji.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Trzech Króli i narodziny córki Katarzyny

Od 13 grudnia 1981 roku minęło już trzydzieści osiem lat, a ja wciąż z trwogą wspominam tamten grudniowy dzień. To miała być nowa Polska, ojczyzna wreszcie wolna i demokratyczna. Tej najnowszej historii młode pokolenie, które dorastało i to, które się rodziło w tych latach, niestety nie zna dobrze. Nieubłagany czas zaciera w naszej pamięci przeszłość, a obecnie rządzącym politykom wcale nie zależy na tym, by docierać do prawdy, pokazywać wydarzenia w całym wachlarzu zdarzeń, jakie do nich doprowadziły. Szkoły, ani media nie informują w sposób wystarczający o tamtej rzeczywistości.



Fot. szpital.słupsk.pl

Grudzień - feralna trzynastka na kalendarzu 1981 roku. Jestem w dziewiątym miesiącu ciąży z wyznaczoną datą porodu na 26 stycznia 1982. Żarzące się koksowniki na ulicach Słupska ogrzewają ręce nie tylko przechodniów, ale coraz większe grupki tłoczących się przy nich ZOMO-wców. Na ulicach w kierunku Gdańska słychać huk jadących czołgów. Na twarzach przechodniów malują się odczucia dotąd nieznanne. Grymas niezadowolenia, strach, niekiedy wręcz przerażenia. Wyczuwa się panikę. Temperatura powietrza iście zimowa: 26 stopni Celsjusza. Zawiewa północny wiatr, niosący białawe tumany prószonego śniegu. Br... Jest potwornie zimno.

Ten powracający obraz tamtego dnia staje się coraz wyraźniejszy, wspomnienia stają się świeże, odczuwam, jakby to było wczoraj.

- Zosiu proszę, obudź się... Telewizor się popsul - to głos mojej mamy Janki, babci moich dwóch synów Tomka i Wojtka. Mama skończyła 80 lat i,

jak widać, nie potrzebowała już tyle snu, skoro budziła mnie o szóstej rano.

- Oj mamuś, mamuś... - spoglądam na stojący przy łóżku budzik. - Jest dopiero szósta. A ja... źle spałam w nocy, bo moja mała isierka bardzo się kręciła. Chyba ma plany opuszczenia brzuszka mamy. Po co ci telewizor? W szafie, na dole, jest zapasowy. Powiedz Tomkowi, niech ci podłączy.

- Słuchaj. Tamten też popsuty. Już próbowaliśmy - upierała się babcia. Chłopcy już byli na dobre wybudzeni i Tomek dopominał się o śniadanie, w przeciwności do młodszego syna Wojtka, który prawie nigdy nie był głodny. Musiałam wstać. Nie zdążyłam wejść do łazienki, gdy rozległo się pukanie do drzwi. W progu stała sąsiadki córka Oleńka, siedmioletka ze zmar-twioną miną. - Ciociu Zosiu, mamusia prosiła, żebym mogła u was oglądać teleranek, bo u nas popsul się telewizor.

- U nas też Oleńko nie działa telewizja - pośpieszyła z wyjaśnieniem moja mama.

- Jest mi przykro, ale nie ma dzisiaj teleranka - odprawiłam dziewczynkę, która niepocieszona wróciła do domu.

- Co się dzieje u diabła?! - pomyślałam wtedy. I włączyłam radio. Usłyszałam w nim znajomy głos generała Jaruzelskiego, ogłaszającego stan wojenny.

- Mamusiu, czy to wojna? - zapytał dociekliwie jedenastoletni Wojtek. Tomek też pytająco patrzył na mnie.

- Oj, chłopcy, to taka wojna na niby. Podobnie, jak często bawicie się z kolegami na podwórku.

Tomek nie dociekał szczegółów, tylko spytał, kiedy wraca tata. - Powinien wrócić za dwa dni. Statek jego stoi w porcie w Gdyni i trwa załadunek w rejs do Afryki. Stara się o urlop, żeby być z nami na czas, jak urodzi się wam braciszek lub siostrzyczka. Synowie spostrzegli jednak, że generał mnie nastraszył. Babcia też słuchała go z wyraźnym przygnębieniem.

- Boże drogi! co my zrobimy same?! - westchnęła głośno.

- Cicho, mamuś - przytuliłam się do niej. Sama jednak myślałam podobnie: - A co ja zrobię? Gdzie będziemy uciekać? Z dwoma nastolatkami, noworodkiem i osiemdziesięcioletnią babcią, jak mąż nie dostanie urlopu i nie wróci do nas? Mój brzuch zaczynał falować coraz częściej, czułam, że moje maleństwo będzie miało ochotę pchać się wcześniej na ten niespokojny świat.

Po obiedzie odwiedziła mnie sąsiadka, Danusia Religowa spod trójki.

- Zosia, jak się czujesz? Idę zająć kolejkę pod sklepem, po parówki i kaszanke. Przyjdź za godzinę, to wypuszczę cię przed siebie.

- Jestem sama z Olą - tłumaczyła - bo mój Franek wziął malucha i

podjechał pod PCK. Po talony na paliwo. Mam nadzieję, że mu dadzą. Chce pognać do Płocka. Nic nie mówią o tym w radiu, a tam tragedia. Powódź. Trzeba ratować powodzian. Wiesz, że cała jego rodzina tam mieszka. Gospodarstwo im załaziło, a tu taki mróz! - lamentowała coraz głośniejsze.

- I ta woda tak cały czas trzyma? - zapytałam. - No, wczoraj dzwonili wieczorem, że cały czas woda wysoka. Bydło zamarza w wodzie i żeby go wyciągnąć, odrąbują lód.

- O matko?! Aż tak?...

Religowa zostawiła u mnie Oleńkę i wyszła, żeby stanąć w kolejce do rzeźnika na popołudniową dostawę towaru. Tak, jak się umówiliśmy, dołączyłam do niej za godzinę, ubierając się w futro babci, które jeszcze na mnie pasowało i mogłam się dopiąć. Odstąpiłam z nią jeszcze na mrozie półtora godziny. Kiedy wreszcie dotarłam do lady, pani ekspedientka oświadczyła, że została już tylko słonina.

Rozplakałam się z żalu, że właśnie mnie zabrakło kaszanki i parówek. Sąsiadka wzięła mnie pod pachę i wyprowadzając ze sklepu zaczęła pocieszać: - Nie martw się Zosia. Może jutro się nam uda? Odstąpię ci jedną konserwę mielonki. Na kolację były placki ziemniaczane i zbożowa kawa. O tym, co słyszałam od ludzi w kolejce, nawet nie wspomniałam mamie.

- Na Gdańsk poszły czołgi... Tam jest Wałęsa... Podobno tam już leje się krew, wojsko strzela do robotników??? Od Gdańska się zacznie... I tak dalej, i tym podobnie. Nie wiadomo, co było prawdą, a co plotką? Po co ją denerwować? Przeszła, przeżyła już dwie okropne wojny.

Chłopców było trudniej powstrzymać od dyskusji, co może się wydarzyć, jak ludzie nie posłuchają Jaruzelskiego. - Pan od historii mówił, że wszystko zależy od Wałęsy. I od naszego papieża. Jak Wałęsa nie poderwie robotników do walki z komunistami, to sytuacja się uspokoi. A jak się zdecyduje wyprowadzić ludzi na ulice, to wejdą Ruscy i będzie lała się krew - mądrzył się Tomek.

- O Boże! Tak wam mówili w szkole? - wystraszyła się babcia. - A w kolejce w sklepie, Zosiu, co ludzie gadali?

- Oj mama, daj spokój. Słyszałaś przecież. Stan wojenny ogłosili po to, by nie dopuścić do wojny. I Wałęsa i prymas Polski, i Jaruzelski muszą się dogadać. Nie mogą pozwolić, by Ruscy urządzili w Polsce drugą

Czechosłowację, a już nie daj Boże, drugie Węgry.

- W rzeczywistości sama nie wiedziałam, co może się wydarzyć. Mama co jakiś czas nawiązywała do przeżytych dwóch wojen światowych. Odganiałam od niej chłopców, gdy zaczęła im opowiadać, jak zapamiętała wybuch drugiej wojny, naloty samolotowe Niemców, przed którymi ratowali się, kładąc się w redlinach na polu z ziemniakami. - Boże, jak ja położę się w redlinie na ziemi z tym brzuchem? - przebiegło mi przez myśl przerażające zastanowienie. Moja wysoka - i wzrokowo i czasowo - ciąża nie pozwalała mi myśleć o niczym innym, jak tylko o bezpieczeństwie rodziny, swoim i... Kiedy wreszcie wróci mój mąż? Był jak nigdy dotąd wtedy potrzebny.

Atmosfera w domu była napięta, rozmawialiśmy szeptem, jakby w obawie, że głośne wypowiedzi spowodują coś niedobrego. Ja z mamą popłakiwałam od czasu do czasu. Nie wiem, czy z żalu, czy z obawy przed następnym dniem? Dwa dni później mąż w PLO dostał urlop i nie musztrował się już na kolejny statek. Jadąc z Gdyni do domu, trzy razy był kontrolowany przez milicję. Na szczęście nie skonfiskowano mu zakupionych w Baltonie konserw z pysznymi parówkami, kaszanką, szynką konserwową oraz kawą i herbatą.

A tymczasem planowany termin porodu mojego trzeciego dziecka przesunął się. Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok... Dobiegał końca kolejny dzień - 6 stycznia 1982 roku. Rozpoczęła się godzina milicyjna. Ustawione w poprzek drogi czołgi zagradzały wyjazd z ulicy Bałtyckiej w kierunku Gdańska. Wszystkich obywateli obowiązywały przepustki, po okazaniu których po godzinie 22.00 można było poruszać się po ulicach. Dokładne ich sprawdzanie przez liczne patrole i dociekanie powodu przebywania o tej porze w mieście, nie zachęcało do wychodzenia z domu bez szczególnej potrzeby. Zima też nie odpuszczała. Przybywało śniegu, a tęgi mróz utrudniał mieszkańcom codzienne życie.

W nocy 6 stycznia 1982 roku, w samo święto Trzech Króli moje małżeństwo pchając się na świat, samodzielnie przebiło pęcherz i usiłowało wydostać się w dosyć szybkim tempie. Telefony nie działały. Nie miałam przepustki, dotychczas nie była mi potrzebna. Na ulicach miasta pełno było wojska i milicji.



Kazik! Muszę do szpitala! - zaczęłam budzić męża. - Kazimierz wyskoczył jak z katapulty, na pidżamę założył zimową kurtkę i wybiegł na ulicę. Spojrzałam w okno, gęsty śnieg sypał grubymi płatkami, pokrywając drzewa i ulicę. Brzuch bolał mnie coraz bardziej, a przerwy w boleściach były coraz krótsze.

Boże, ja naprawdę zaczynam rodzić! - zawylałam, padając na kanapę.

Ten brzuch to boli cię tak mocno z nerwów, uspokój się. Spróbuj głębiej oddychać. Kazik na pewno załatwi zaraz jakiś transport - uspakajała mnie jak zwykle, mama Janka. Nie były to jednak tylko nerwy. Teraz też mama zaczęła się denerwować. Będąc matką już dwóch synów, wiedziałam, że to zaczyna się akcja porodowa, i moje dziecko może przyjść na świat lada chwila.

Zamieć śnieżna zasypała okna do połowy parapetów - teraz mama Janka obserwowała, co dzieje się na zewnątrz. I głośno myślała: - Niedługo śnieg zawali drzwi wejściowe. Będziesz musiała rodzić samodzielnie.

- Jak samodzielnie? - wystraszyłam się jeszcze bardziej. - Przecież nie umiem. Mam, proszę cię, najlepiej nic nie mów, tylko z szafy przepakuj do torby wyprawkę dla dziecka. I z łazienki zabierz moją kosmetyczkę z przyborami...



Fot. J. Żolnierkiewicz - / wikimedia.org

Mama rzeczywiście ruszyła do łazienki i w pośpiechu zaczęła mnie pakować. - ...i daj mi dwa ręczniki. Pośpiesz się i chodź pomóż mi się ubierać.

Mama wyszła z ręcznikami i patrzyła na mnie, jakby nic do niej nie docierało. Już chciałam powiedzieć, żeby przypomniła sobie, jak mnie rodziła, ale dotarło do mnie, że przecież nie zna tego uczucia, byłam adoptowana - urodzona przez jej siostrę.

- No, pomóż mi założyć kożuch - pośpieszyłam ją tylko. - Pod naszym domem na ulicy Bałtyckiej od wczoraj stoi gazik wojskowy zasypany do połowy śniegiem. - Może obudzę sąsiadów i spytam się, kto jest właścicielem, i gdzie mieszka kierowca? - zaproponowała. W tym momencie drzwi się otworzyły i wrócił mój mąż. Szpetnie przeklinając, oznajmił, że nie udało mu się nic załatwić. - Telefony kurwa nie działają! Nie ma jak wezwać pogotowia! Ani taksówki, ani gazika! Ani pomocy, kurwa, znikąd!...

Popatrzyłyśmy po sobie bezradnie. Moja mama była jeszcze bardziej przerażona ode mnie.

- Jak się Zosia czujesz? Dasz radę pójść ze mną? To na skróty ponad kilometr. Tylko są zasy, kurwa, bo nikt nie odśnieża!

- Co on mi proponuje? Na piechotę do szpitala, jak już mi odeszły wody? Przecież tego moje dziecko może nie przeżyć. - Byłam coraz bardziej przerażona, a nieznośny ból przeniósł mi się w okolice krzyża.

- Proszę. Idź jeszcze raz do żołnierzy. Powiedz, że odeszły mi wody i już rodzę - błagającym głosem starałam się przekonać męża.

Ból spowodował, że usiadłam na podłodze i siedząc w kucki, tłumaczyłam mu dalej: - Widziałam rano, oni są w czołgach na wylocie ulic. Idź i poproś o pomoc.

Kazik, nie dyskutując ze mną, ponownie wybiegł na ulicę. Wrócił za pięć minut. - Wychodzimy! Musimy dojść do czołgu. Zgodzili się. Mam też przepustkę podbitą na dzisiejszą noc. Podjadą z tobą pod pogotowie na Kopernika i tam cię zostawią. Ja dojdę za tobą na piechotę i zabiorę torbę... Babcia spakowałaś jej wszystko?!

Na rogu ulicy dymił rozpalony koksownik. Potworny huk jadących od strony Szczecina czołgów w stronę Gdańska, zrobił na mnie wrażenie, jakiego nie zapomnę nigdy. Taki obraz przewijał się już w moich wspomnieniach z 13 grudnia 1981 roku. Sądny dzień - pomyślałam.

Obok bramy przy Liceum Pięknarskim stał czołg, a koło niego uśmiechnięty żołnierz. Podskoczył do mnie i spokojnie powiedział: - Pojedzie pani z kapitanem, łazikiem. Będzie wygodniej z tym brzuchem, no i... bezpiecznie.

Nie pamiętam, czy zdołałam wydusić z siebie słowo dziękuję, ani jak podprowadzona pod pachy znalazłam się w tym wojskowym pojeździe. Czulałam jedynie potworny ból i dławiący gardło lęk o moje maleństwo.

Była już godzina piąta rano 6 stycznia 1982 roku. Po drodze tylko się modliłam, aby kierowca nie zasnął w jakimś zaspie śniegu. I cały czas półgłosem powtarzałam: - Wytrzymaj kruszynko... Nie rób mi tego... Wytrzymaj do rana. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... Tych minut i godzin przeżytego stresu nie byłam w stanie opisać do końca w moim pamiętniku.

Podjechaliśmy pod szpital na Kopernika. Ktoś podjechał wózkiem pod drzwi łazika, na który pomogli mi się przesiąść.

O godzinie 8.10 usłyszałam wreszcie donośny płacz mojej córeczki. - Ma pani śliczną córkę. Waga 3850. Mierzy 54 cm.

Chwilę potem pokazano mi moje maleństwo z burzą czarnych włosów na główce. Dostała 10 punktów.

- Jest zdrowa, jak przysłowio-
wa ryba - oznajmił odbierający już u mnie trzeci poród doktor Jerzy Piliszczuk - jeden z najlepszych położników w Słupsku.

- Kasia - tak będzie miała na imię. Kasia - wymyśliłam jej to piękne imię. Zwyciężyłyśmy, udało się! - Katarzyna!!!

Kasieńka w swój nowy etap życia też weszła z wielkim okrzykiem radości. No może się myśle, ale krzyk był na pewno.

Prawdziwie utrudzone i w wyjątkowo niebezpiecznych warunkach urodzone dziecko stanu wojennego dawało mi wielką nadzieję. Że będzie dobrze i ten koszmar za oknem - nie tyle ciężkiej zimy, ile wojennych pogrywek panów, z powodu których wyprowadzono czołgi na ulice - szybko się zakończy.

Tatuś Kazimierz przemycił przez salowego bombonierkę E. Wedla z pralinkami z karteczką „Kocham was wojenne dziewczyny! Czekamy z Tomkiem, Wojtkiem i babcią na was w domu!”.

Do domu po pięciu dniach wróciłyśmy już... taksówką.

Zofia Maria Smalewska, Bąkowo

An aerial photograph showing a wide sandy beach with many beach umbrellas, a promenade, and a coastal town with buildings and a church spire in the background.

Majorka – wyspa słońca, jeden z cudów świata

Jestem po raz drugi na Majorce, którą turyści nazywają wyspą słońca. Sezon turystyczny trwa tu osiem pełnych miesięcy, od marca do końca października. Napływa afrykańskie powietrze, są rześkie poddmuchy czystej zasolonej bryzy morskiej, jest pełne nasłonecznienie i ciepłe morze. Są to cenne walory wypoczynkowe. Z tych względów Majorka przyciąga rzesze turystów i stanowi europejskie centrum wypoczynkowe.

Majorka leży na Morzu Śródziemnym w archipelagu Wysp Balearskich w odległości 80 kilometrów od wschodnich wybrzeży Hiszpanii. Jest prowincją królestwa hiszpańskiego. To największa wyspa w archipelagu o kształcie rombu o przekątnych 100 i 90 kilometrów. Jest usytuowana w środkowej części Balearów i ma w sąsiedztwie inne wyspy, m.in. Ibizę. Zamieszkuje ją ok. 850 tys. mieszkańców, w tym 350 tys. w stolicy tej prowincji hiszpańskiej - Palmie de Mallorca. Piękno Majorki wynika nie tylko ze specyficznego mikroklimatu, ale też ze zróżnicowania przestrzennego, jej geomorfologii i unikalnej przyrody.

Wyspa ta, licząca 3640 kilometrów kwadratowych ma ciekawe krajobrazy, panoramy, sięgające od wysokich skalistych gór, przez tereny nizinne - uprawne pola, pastwiska, sady, rzeki wpadające do morza, słabe lasy oraz zatoczki morskie i piaszczyste plaże. Wzdłuż jej północnego wybrzeża rozciąga się pasmo górskie sięgające ponad 1000 metrów n.p.m. i stromo opadające do morza. Góry są zbudowane głównie z wapieni mezozoicznych, jak większość wyspy, zajmują

obszar o długości 90 i średniej szerokości 10 kilometrów. Są tu dobre warunki do uprawiania górskich wędrówek i wspinaczki. Szeroki wybór tras turystycznych pozwala na poznanie niemal wszystkich atrakcji regionu. Szczególne znaczenie mają kąpieliska morskie, rozciągające się wzdłuż wybrzeża, między innymi na przestrzeni 20 kilometrów nad brzegiem zatoki Bahía de Palma. Wyspa charakteryzuje się również malowniczymi, pagórkowatymi krajobrazami, oraz żyznymi polami z uprawami warzyw i nowalijek. Pomiędzy polami ułożyły się typowe, małe miasteczka, a na wybrzeżu urwiste i skaliste zatoczki lub piaszczyste plaże.

Bogactwo egzotycznej przyrody zaskakuje turystę z zimnej północnej Europy. Lecąc na wyspę przez bulaj samolotu można oglądać rozległe gaje oliwne, gaje palmy daktylowej, sady cytrusowe i pomarańczowe. Spotkamy tu też zabytkowe ogrody, prastare pomnikowe drzewa oliwne i figowe oraz potężne strzeliste topole, sosny i wiele innych gatunków drzew. Po skalistych zboczach chadzą półdzikie kozy z młodymi osobnikami i potężne samce. Na łąkach i bardzo ubogich

pastwiskach z roślinnością kserotermiczną pasą się stada owiec. Na skalistym wybrzeżu z zatoczkami można spotkać kormorany, czaple i inne ptaki wodne. Jest kilka parków natury i rezerwatów przyrody oraz obszarów dziedzictwa historycznego i kulturowego. W Zatoce Alkudyskiej ustanowiono Park Natury S'Albufera, w którym podziwiać można wyjątkową dziką przyrodę. To największe mokradła nad Morzem Śródziemnym, stanowią prawdziwą oazę spokoju i są idealnym miejscem dla wielu gatunków miejscowej awifauny.

Ciekawa jest historia Majorki. W Górach Serra de Tramuntana, a konkretnie w jaskiniach w okolicach Soler i Valldemossa odnaleziono pierwsze ślady obecności człowieka, pochodzące z 5000 roku p.n.e. Na Majorce napotkamy pozostałości po budowach megalitycznych, zwanych talajotami z epoki brązu. Ówczesny lud ok. 1500 lat p.n.e. budował groby podobne do łodzi odwróconych do góry dnem. Później powstawały także przypominające stoły budowle kamienne. Kultura talajocka zaczęła wymierać, kiedy na wyspie pojawili się Fenicjanie. Znaczny wpływ na historię regionu

mieli też Rzymianie, założyle m.in. miasta Pollentia (obecnie Alcudia) i Palmaria (obecnie Palma de Mallorca). Duży wpływ na rozwój wyspy mieli także Arabowie. Podbili ją w 707 roku, pozostały po ich kulturze m.in. ogrody Jardines de Alfabia.

Majorka często była celem ataku piratów. Słynny Barbarossa miał swoją siedzibę na wysepce Sa Dragonera. Charakterystycznym elementem wyspy, są miasta budowane kilka kilometrów od morza. Pozwalało to skutecznie przygotować się do obrony przed niebezpieczeństwem nadciągającym od strony morza. Przy brzegu powstawały jedynie niewielkie porty. W południowej części wyspy nad morzem znajduje się stolica Balearów - Palma. Ma bogatą historię, w której mieszają się wpływy wielu kultur. Założone zostało przez Rzymian i nazywało się Almaria. Powstało na pozostałościach kultury talajockiej.

W czasie panowania Arabów Palma nosiła nazwę Medina Majurqa. Do chrześcijan powróciła 12 września 1229 roku, zdobyta przez króla Aragonii, Jaume I. Po zwycięstwie nad Arabami utworzono Królestwo Majorki, którego stolicą została właśnie Palma. Jaume I oraz jego syn Jaume II przyczynili się do powstania większości dzisiejszych zabytków, m.in. Zamku Bellver i kościołów St. Francesc i St. Domingo. Przebudowany został wtedy również Pałac Almudaina, będący konstrukcją arabską. Dziś swą letnią rezydencję ma tutaj król Hiszpanii, Juan Carlos. Królestwo Majorki przestało istnieć w 1349 roku, kiedy to wyspa powróciła pod panowanie hiszpańskie i aragońskie. W 1833 roku Palma stała się stolicą prowincji Balearów. Od 1950 obserwuje się do niej i okolicznych kurortów gwałtowny napływ turystów, co uczyniło stolicę Majorki jednym z największych ośrodków turystycznych świata. Tutejsze lotnisko jest jednym z najruchliwszych w Europie - zwłaszcza w miesiącach wakacyjnych, jest pod względem obsługi pasażerów trzecim lotniskiem w Hiszpanii.

Najważniejszym zabytkiem na wyspie jest Katedra La Seu w Palmie de Mallorca i należy do najwspanialszych gotyckich kościołów w Europie. Ma ciekawą historię. Świątynię kazał zbudować król Aragonii Jakub I - Jaime I de Aragón. Kroniki podają, że „kiedy monarcha wraz z flotą statków udał się na wyspę zajmowaną przez Maurów w celu jej zdobycia rozszalał

się groźny sztorm. Jego modlitwy do Matki Boskiej przyniosły efekt w postaci ocalenia oraz zwycięstwa. Na dowód swojej wdzięczności nakazał wzniesienie katedry ku jej czci”. Katedra powstała na miejscu dawnego meczetu. Budowę rozpoczęto w 1229 roku. W XIV wieku znacznie zmodyfikowano jej plan architektoniczny, dzięki czemu prezentuje gotyk śródziemnomorski w pełnym rozkwicie. Poświęcenie odbyło się w 1601 roku. Kolejne, znaczące modyfikacje świątyni były następstwem trzęsienia ziemi, które nawiedziło Majorkę w 1851 roku. Znaczący udział na początku XX wieku miał w nich Antoni Gaudí, genialny kataloński architekt.

Katedra jest trzynawowa, posiada 121 metrów długości i 55 metrów szerokości, stanowi olbrzymią bryłę architektoniczną o powierzchni 6 600 metrów kwadratowych. W klasyfikacji zabytkowych świątyń jest drugą

a wewnątrz zdobią najpiękniejsze witrażowe rozety. Największa ma średnicę 13,8 metra i powierzchnię ponad 100 metrów kwadratowych. Do budowy wypełniającego ją witraża użyto ponad tysiąca kawałków pięknie oszlifowanego, kolorowego szkła. Rozeta, tak zwane „gotyckie oko”, umieszczona jest bezpośrednio ponad środkowym ołtarzem. Architekci zaprojektowali ją w bardzo precyzyjny i przemyślany sposób. Rankiem, dwa razy w roku podczas ważnych katolickich świąt (2 lutego - Matki Boski Gromnicznej i 11 października - św. Marcina) promienie słoneczne wpadające przez witraż znajdujący się w ścianie jednej z naw tworzą pod wielką rozetą iluzoryczny obraz drugiej. W wyposażeniu katedry dominuje wielki, żelazny baldachim z podwieszonymi latarnikami, mający symbolizować koronę cierniową. Projektował go też sam Antoni Gaudí.



po katedrze w Beauvais (Francja), a jednak posiada najwyższą nawę główną ze wszystkich gotyckich katedr na świecie, o wysokości 44 metrów. Główne wejście prowadzi od południowej fasady, poprzez tak zwany Portal del Mirador zdobiony rzeźbami przedstawiającymi sceny z „Ostatniej Wieczery”. Po przeciwnej stronie znajduje się gotycki portal, którego ornamentykę wykonał Guillermo Sagrera, architekt mający w swoim dorobku również wykonanie fasady budynku miejscowej Giełdy (La Llotja). Sklepienie świątyni wspiera czternaście ośmiobocznych kolumn,

We wnętrzu świątyni znajdują się alabastrowe sarkofagi średniowiecznych władców Majorki (Jaime II i Jaime III), na parterze wieży z dzwonnicy jest Muzeum Katedralne. W apsydzie, w jednej z bocznych naw, znajduje się wielki mural wykonany z ceramiki - dzieło autorstwa Miquela Barceló.

Inne zabytki godne zwiedzenia to Pałac Almudaina, Zamek Bellver i kamienice w stolicy wyspy o pięknej architekturze i dekoracji zaprojektowane przez uczniów Gaudiego. Z turystycznych terenów można wymienić m.in. półwysep Formentor

z malowniczym, skalistym wybrzeżem i świetnymi warunkami do uprawiania sportów wodnych i nurkowania. Na wybrzeżu spotykamy w wyjątkowych miejscach piaszczyste plaże, które dzięki miękkiemu piaskowi i łagodnemu zejściu do morza, świetnie się nadają dla rodzin z dziećmi. Na północy wyspy i w głębi lądu ukształtowały się tereny górzyste, co sprzyja trekkingowi i wycieczkom rowerowym. Rozwinięty turystycznie jest też obszar w pobliżu stolicy Palmy, a sąsiadujące z nią kąpieliska - Cala Major i Playa de Palma posiadają przepiękne plaże.

strome i poszarpane wybrzeże Morza Śródziemnego. Wioska Deia jest szczególnie upodobaną przez artystów. Klasztor Santuari de Lluc - stanowi ośrodek kultu Czarnej Madonny, będący celem wielu pielgrzymek organizowanych od XIII wieku. Miasto Andratx położone jest na wzgórzach, wśród gajów migdałowych, pomarańczowych i oliwnych. Najlepiej wybrać się tu w środę, kiedy odbywa się cotygodniowy targ. Z kolei w Muro - małym miasteczku położonym na krańcu rezerwatu S'Albufera znajduje się interesujące Muzeum Etnologiczne oraz ogromny i piękny gotycki ko-

Alcudii do Ciutadelli - dawnej stolicy wyspy położonej na Minorce.

Czy są tu jakieś polskie ślady? Do największych z poloników należy pobyt na wyspie Fryderyka Chopina, w miejscowości Valldemossa. Powstało tutaj kilka wybitnych dzieł naszego kompozytora. Miejscowość ta leży 17 kilometrów na północ od Palmy i stanowi uroczne miasteczko, które zawdzięcza swoją popularność George Sand i Fryderykowi Chopinowi. Artystyczna para spędziła tutaj zimę na przełomie roku 1838 i 1839 w klasztorze kartuzów na wysokości 428 metrów n.p.m. Prywatne muzeum zgromadziło pamiątki z tego okresu, a szczególnie są prezentowane w nim utwory napisane na wyspie przez Chopina. Najważniejsze to Preludia, które prawie wszystkie tu powstały.

Drugi Polak, który zasłynął na Majorce to wybitny pianista Witold Małcużyński (1914-1977). Mieszkał i zmarł w Palma de Mallorca. Po wojnie odbywał tournée po świecie z programem chopinowskim, uczestniczył w pracach jury wielu międzynarodowych konkursów pianistycznych, m.in. Konkursu im. Fryderyka Chopina w Warszawie w latach 1960, 1965 i 1975.

Dla mieszkańców północnych obszarów Europy, w tym dla Polaków i Niemców Majorka stanowi raj wypoczynkowy. Dlatego berlińskie porty lotnicze Schönefeld i Tegel obsługują tanimi lotami linię Berlin - Palma i w formie „wahadła komunikacyjnego” przerzucają rzesze turystów, szczególnie z Niemiec. Bywa, że za bardzo małe opłaty wynoszące 40 euro można pokonać dwukrotnie odległość z niemieckich lotnisk na wyspę i z powrotem. W sezonie turystycznym, mimo że rodzimi mieszkańcy mówią po hiszpańsku z dialektem kastylijskim, to w kurortach dominuje język niemiecki. Inwestor i potencjał niemiecki stał się naczelnym realizatorem programów dla turystów na wielką skalę. Powstały nowe miejscowości i kąpieliska nadmorskie, w zagospodarowaniu dominują potężne hotele - wieżowce, promenady i parki nadmorskie, gdzie funkcjonują otwarte baseny kąpielowe, boiska i korty. Wszędzie widać nowoczesną infrastrukturę, w tym piękne drogi i rozwiązania komunikacyjne. Ta urokliwa wyspa uważana jest za jeden z cudów świata.

Włodzimierz Lipczyński
Ślupsk



Miejscowość Pollença słynie z uroczystego świętowania Wielkanocy i wspaniałych widoków oraz ruiny zamku Castell del Rei, położonego w odległości siedmiu kilometrów. Godne zwiedzenia jest też Sóller - uroczne miasteczko z Museum Balear de Ciencias Naturales i ogrodem botanicznym Jardí Botànic i sąsiadującą uroczą wioską Fornalutx. Koniecznie należy zobaczyć także Ogrody Jardines de Alfabia, które powstały przed ponad tysiącem lat za panowania Maurów na wyspie. Imponująca jest wytyczona górska droga z Valldemossy do Pollensy, licząca 83 kilometry. Prowadzi wzdłuż masywów Alfabia i Torrellas. Jest to najpiękniejsza krajobrazowo droga na Majorce, bardzo kręta, urozmaicona serpentynami i punktami widokowymi. Można ze szczytów górskich podziwiać groźne klifowe,

ściół. Jest też zamek Alaró pochodzący z czasów panowania Maurów, wybudowany na strzelistej, wysokiej skale. Natomiast Alkudia to piękne, zabytkowe miasteczko, z najdłuższą plażą na wyspie oraz urokliwą starówką. Can Picafort - nadmorski kurort, położony w Zatoce Alkudyjskiej też posiada piaszczystą plażę i wiele atrakcji.

Dla turystów organizowane są na wyspie wycieczki łodzią podwodną, z której można oglądać przez panoramiczne okna egzotyczne dno i podwodne życie morskie, okazy wspaniałej ichtiofauny oraz wraki zatopionych statków. Na życzenie powstało wiele tematycznych parków rozrywki, które się prześcigają w dostarczaniu atrakcji. Dla wszędobylskich są przygotowane rejsy morskie do kilku wysp stanowiących Baleary, a osoby interesujące się historią mogą jeszcze popłynąć z

Geniusz wszech czasów

Mija 500 lat od śmierci wielkiego artysty, konstruktora, myśliciela i filozofa, który całe życie przeżył na twórczych pracach i to nie tylko na artystycznych przedsięwzięciach. UNESCO doceniło osiągnięcia i zasługi wielkiego człowieka renesansu i rok 2019 – ogłosiło Rokiem Leonarda da Vinci. Z tej okazji największe muzea europejskie przygotowały światowe wystawy, które przedstawiają dorobek artysty, jego dzieła i myśli.

Wystawy okolicznościowe o wielkich rozmiarach ekspozycji miały miejsce m.in. w Rzymie, we Florencji, Mediolanie, a ostatnia została otwarta w Paryżu i będzie czynna do 24 lutego 2020 roku.

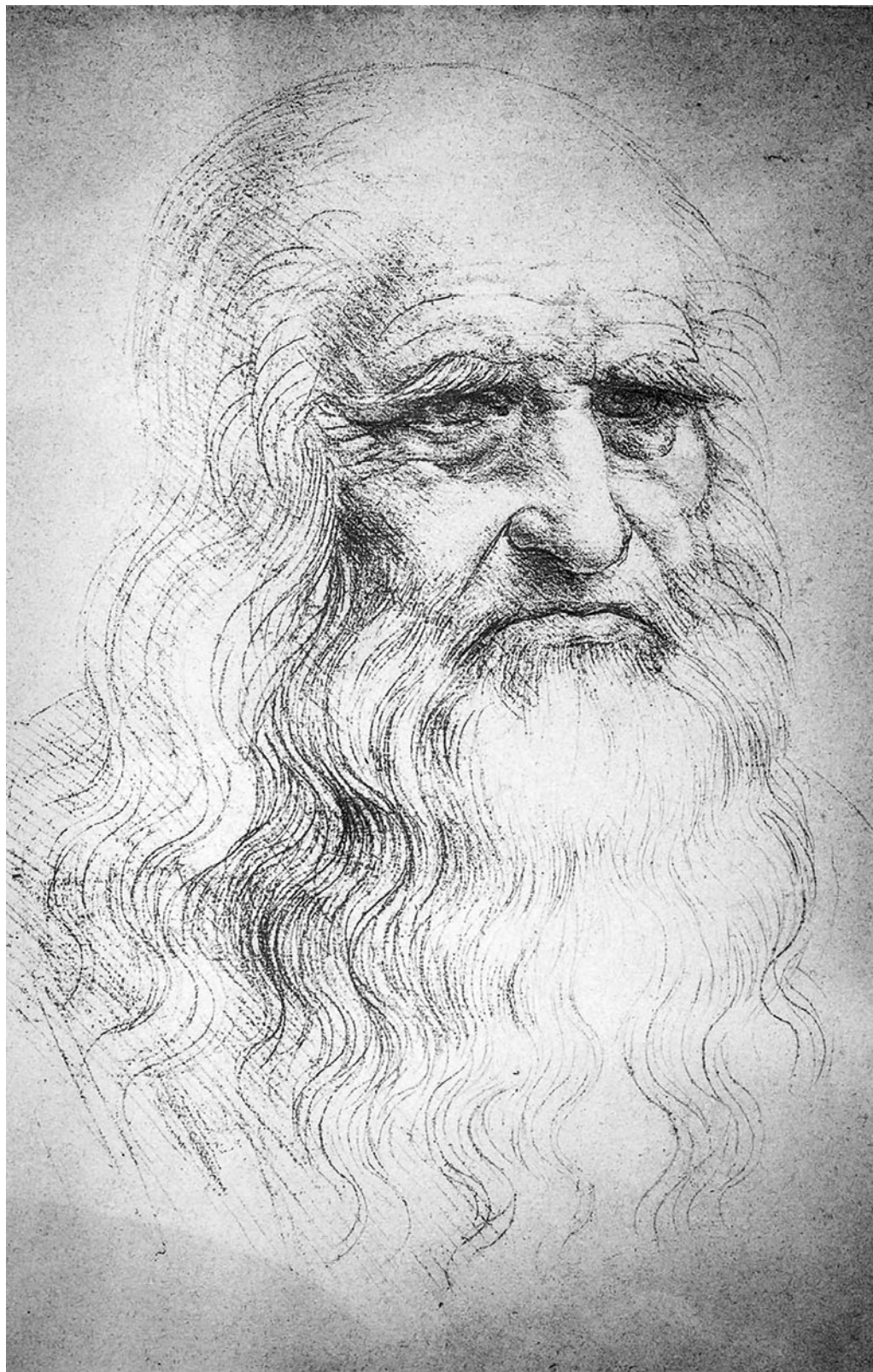
Leonardo da Vinci urodził się 15 kwietnia 1452 roku w Vinci, w prowincji Florencja, zmarł 2 maja 1519 roku na zamku Cloux w Amboise nad Loarą we Francji, w wieku 67 lat. W rozumieniu współczesnym nie miał nazwiska, a człon „da Vinci” oznacza „z miasta Vinci”. Był nieślubnym dzieckiem notariusza. W wieku siedemnastu lat zaczął terminować w pracowni Verrocchia i przed ukończeniem dwudziestu lat był już mistrzem cechu.

Leonardo da Vinci to nie tylko największy włoski malarz renesansu, ale również utalentowany architekt, muzyk, pisarz, odkrywca, matematyk, mechanik, wynalazca, geolog, rzeźbiarz. Położył podwaliny pod rozwój

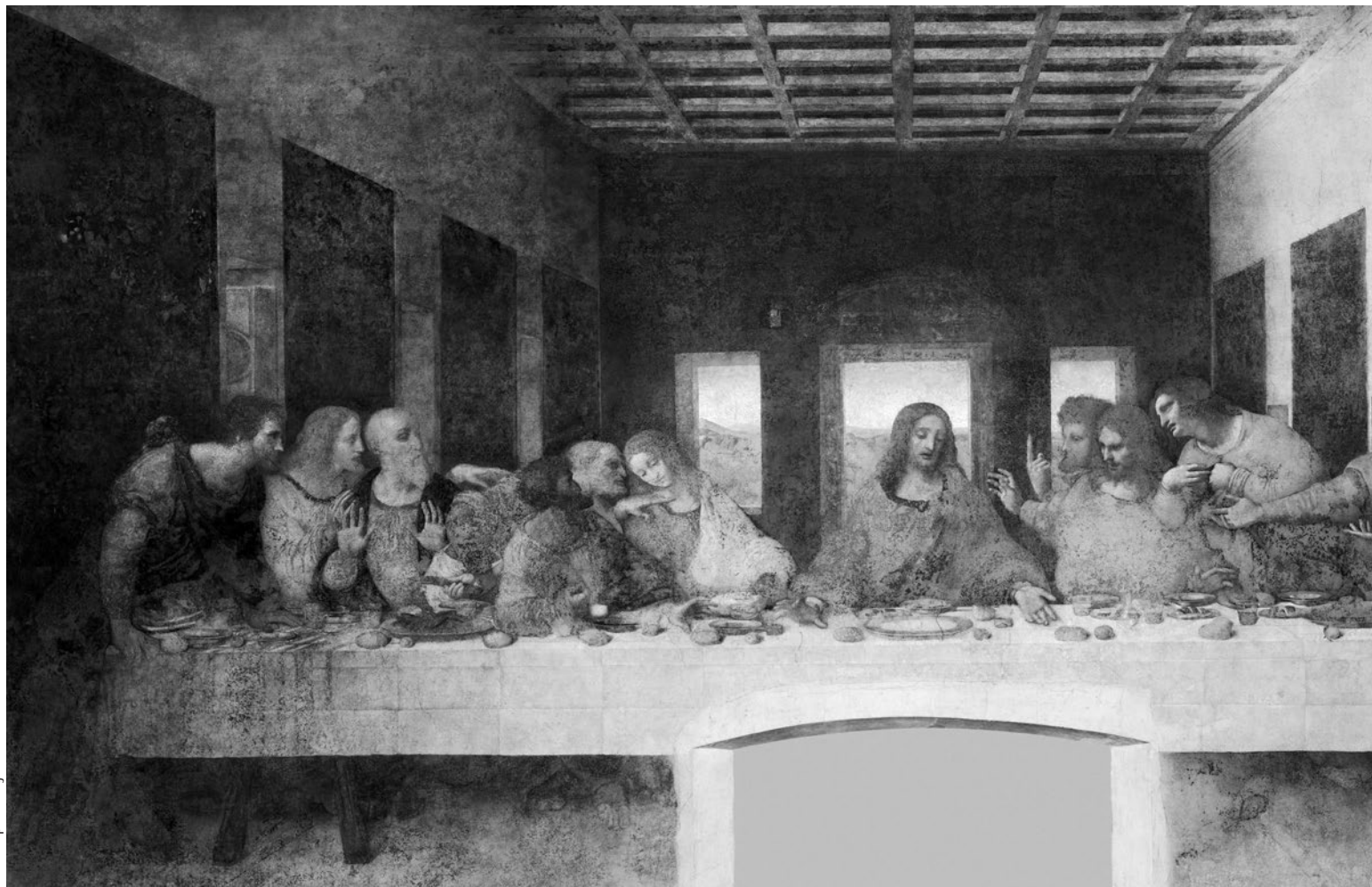
m.in. takich nauk, jak anatomia, aeronautyka czy fizyka atmosfery. Opisał krążenie płynów ustrojowych w organizmie człowieka, dokonał anatomicznej sekcji, projektował pierwsze maszyny latające, broń. Pisał notatki, które później zostały opublikowane w „Traktacie o malarstwie”. Dzięki wybitnym uzdolnieniom i dokonywanej wynalazczości jest uznawany za najbardziej wszechstronnie utalentowanego człowieka w historii ludzkości.

Leonardo jest też określany jako archetyp „człowieka renesansu”. Przekazał ideał człowieka o niespożytej energii, ciekawości świata, którego siła dorównywała jego twórczej kreatywności. Przyjęto współcześnie obdarzać ludzi tego typu tym przydomkiem, wszechstronnie uzdolnionych i pożytecznych.

W życiorysie artystycznym Leonarda da Vinci można wyróżnić kolejne etapy jego życia i miejsca



Fot. wikipedia.org



pobytu, w których twórczo pracował: nauka u Verrocchia, I okres florencki, I okres mediolański, II okres florencki, II okres mediolański, okres rzymski i ostatnie lata we Francji.

Leonardo to jeden z największych malarzy wszech czasów, tak uważają historycy sztuki. Mimo niewielkiej liczby stworzonych obrazów, przy jednocześnie różnorodnych zainteresowaniach, malarstwo było dla niego najważniejsze. Biografowie często wspominają, że obrazy swoje długo cyzelował i często ich nie kończył. Nie dlatego, że go ta praca nudziła i rozpraszały inne zainteresowania, tylko dlatego, że dążył do perfekcji oraz nowatorskiego rozumienia malarstwa jako niekończącego się procesu, oddającego ruch, zmienność form, przestrzeni, cienia i światła.

Dwa najważniejsze dzieła Leonarda, które miałem sposobność osobiście podziwiać to „Mona Liza” i „Ostatnia Wieczerza”. Przysporzyły one artyście największej popularności. Dziś są najczęściej oglądane, imitowane i ich reprodukcje rozpowszechniane. Zajmują czołowe miejsce w katalogach najslawniejszych dzieł światowego malarstwa.

Za każdym razem kiedy pilotuję polską wycieczkę do Paryża i zwiedzam Muzeum w Luwrze, to oglądam najslawniejszy i najbardziej podziwiany oraz dyskutowany obraz „Mona Lisa - Gioconda”. Nieduży, usytuowany w osobnej sali, przyciąga zawsze tłumy zwiedzających, utrudniając możliwość popelnienia własnego studium i refleksji nad nim. Do dziś jest dyskutowana tożsamość modelki - młodej 25-letniej Włoszki, której rysy przypisuje się Lizie Gherardini, żonie Francesca del Giocondo, florenckiego kupca i patrycjusza. Obraz został namalowany w latach 1503 - 1505 i został nazwany przez ówczesnego, słynnego historyka sztuki Vasariego - Giocondą.

Drugie dzieło, które zachwyca to słynny fresk - malowidło ściennie „Ostatnia Wieczerza” w kościele Santa Maria delle Grazie. Powstał w okresie osiemnastu lat pobytu Leonarda w stolicy Lombardii - Mediolanie, zaliczanych jako najpłodniejsze w życiu artysty. Na ścianie refektarzu kościoła oglądałem go tylko jeden raz, ponieważ zawilgocenie ściany stało się przyczyną długoletnich prac konserwatorskich i wyłączenia kościoła z ogólnej

dostępności. Miałem okazję oglądać ten fresk już bardzo dawno, bo w 1986 roku i do dziś pamiętam jakie zrobił na mnie wrażenie.

Reprodukcja tego religijnego obrazu została spopularyzowana w świecie wyznawców chrześcijaństwa i często spotykałem go w dawnych polskich domach w dużym formacie, wiszącego w izbach mieszkalnych lub salonach. Leonardo wybrał temat ewangeliczny, kiedy Jezus mówił do swoich apostołów, że jeden go zdradzi. Współbiesiadnicy wieczerzy są rozpoznawalni, siedzący od lewej do prawej, to: Bartłomiej, Jakub Młodszy, Andrzej, Judasz, Piotr, Jan, postać centralna to Chrystus, dalej: Tomasz, Jakub Starszy, Filip, Maciej, Tadeusz i Szymon. Artysta identyfikuje i dokumentuje apostołów, swoją wyobraźnią artystyczną przybliżył nam biesiadę wiecznika w momencie wypowiedzianych słów przez Jezusa. Twarze apostołów wyrażają różne reakcje i gesty. Widzimy zdumienie, oburzenie, ból, wywołaną zapowiedź czekającej śmierci Chrystusa. Nad zasadniczym freskiem w trzech lunetach widnieją herby i napisy odnoszące się do księcia Ludovica Sforzy, szczególnego



Francji” i „Ostatnia podróż do Francji” - na zaproszenie francuskiego króla Franciszka I w 1516 roku.

Choć paryska wystawa jest ogromnym przedsięwzięciem, to nie wszystkie obrazy Leonarda da Vinci udało się udostępnić zwiedzającym. Były duże problemy z „Człowiekiem witruiwiańskim”, słynnym rysunkiem Leonarda z Gallerie el Accademia w Wenecji, mającym wielkie znaczenie w historii sztuki. Mimo wcześniej zawartego porozumienia między Luwrem i włoskim ministerstwem kultury, niespodziewanie, tuż przed zbliżającą się wystawą, wyjazd dzieła zablokowało stowarzyszenie ochrony zabytków „Italia Nostra”. Ostatecznie Sąd Administracyjny Regionu Veneto oddalił pozew w tej sprawie i otworzył „Człowiekowi witruiwiańskiemu” drogę do Luwru.

Obraz Leonarda „Zwiastowanie” nigdy nie opuścił Uffizzi we Florencji i nie został wypożyczony. Podobnie było z obrazem „Madonna z goździkiem” z galerii Alte Pinakothek w Monachium. Oglądałem go niedawno w czasie pobytu w Bawarii. Długą batalię muzeum w Luwrze stoczyło też o obraz Salvatora Mundi - „Zbawiciel

milionów dolarów. Po aukcji miało trafić do Luwru w Abu Zabi, ale tam dotąd nie zawisło. W tym przypadku paryski Luwr znalazł jednak kompromisowe wyjście i pokazuje XVI-wieczną kopię „Zbawiciela” z warsztatu Leonarda, pochodzącą z prywatnej kolekcji oraz dwa oryginalne szkice Leonarda z fragmentami szat Salvatora.

W Polsce znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego jedyny w naszym kraju obraz Leonarda da Vinci „Dama z gronostajem”. Luwr liczył na obecność i tego obrazu na wystawie, ale się spotkał z polską odmową. Do Paryża nie pojechał, bo uznano, że za dużo podróżował wcześniej po Europie, Japonii i Stanach, a to poważne ryzyko dla dzieła.

Znawcy twierdzą, że do obecnych czasów przetrwało najprawdopodobniej tylko 15 obrazów Leonarda da Vinci, choć nie ma dokładnych informacji, czy nie zachowały się jakieś w prywatnych kolekcjach.

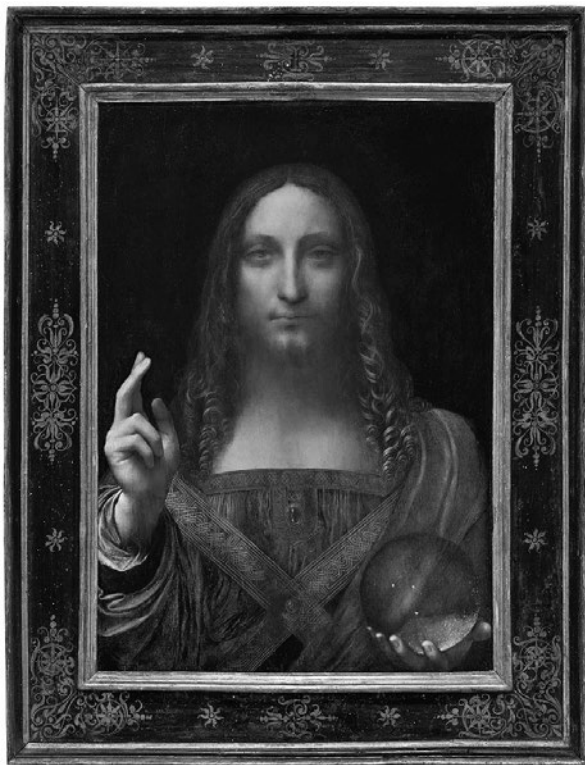
Przedstawiając postać wielkiego człowieka włoskiego renesansu nie sposób ominąć jego innego twórczego zaangażowania. Leonardo jako konstruktor - tworzył projekty wyprzedzające jego czas, na przykład opracował koncepcje śmigłowca, czołgu, wykorzystania podstaw tektoniki płyt, podwójnego poszycia burt statku i wiele, wiele innych innowacji. Jednak mała liczba jego pomysłów została wcielona w życie za jego czasów. Niektóre z jego pomysłów, jak na przykład automatyczna nawijarka do szpul czy maszyna do sprawdzania wytrzymałości drutu na rozciąganie, weszły do świata techniki bez większego rozgłosu.

Leonardo doprowadził do znacznego wzrostu poziomu wiedzy o anatomii, budownictwie lądowym i hydrodynamice. Zaznaczył swoją obecność w dziedzinie architektury, rzeźby, filozofii i pisarstwa, ale te jego osiągnięcia odgrywały mniejszą rolę w jego życiu. Do dziś przetrwało 7 tysięcy stron jego notatników z rysunkami, szkicami naukowymi i różnymi notatkami. Pracował na największych dworach Europy, m.in. dla rodu słynnych Sforzów w Mediolanie i Medyceuszów we Florencji. Miał niewątpliwą rolę na artystów różnych epok. Współczesność doceniła i uznaje Leonarda da Vinci za największego ponadczasowego geniusza.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

protektora i zleceniodawcy „Ostatniej Wieczery”.

Rocznicowa wystawa o Leonardzie da Vinci, to największe przedsięwzięcie w dziejach paryskiego Luwru. Przygotowania do niej trwały dziesięć lat. W Luwrze udało się zebrać jedenaście obrazów Leonarda z zachowanych do dzisiaj około 15-20, a także kilkadziesiąt jego wspaniałych rysunków, wiele rękopisów oraz prace innych twórców, na przykład Verocchia - nauczyciela Leonarda, które dały początek jego wnikliwym studiom światłocienia w szkicach draperii. W sumie ekspozycja liczy 160 obiektów w siedmiu odsłonach, zatytułowanych: „Światło, cień, relief”, „Wolność”, „Leonardo w Mediolanie”, „Nauka”, „Życie”, „Powrót do Florencji”, „Wyjeżdżając do



Fot. wikipedia.org

świata”, który miał być hitem paryskiej wystawy. Dzieło to stało się sensacją w 2017 roku, gdy zostało kupione na aukcji, podobno w imieniu saudyjskiego księcia Mohammeda bin Salmana, za rekordową sumę ponad 450

Góra go pokonała...

W tym roku minęło 30 lat od śmierci Jerzego Kukuczki, światowej sławy polskiego himalaisty, który przeszedł do historii jak drugi człowiek na świecie – zdobywca czternastu najwyższych szczytów na naszej planecie. Znamienny to był wyczyn, który rozstawił imię himalaisty i jednocześnie Polskę, pokazując, że ma najwyższej klasy sportowców – zdecydowanych i odważnych.

Kiedy trzydzieści dwa lata temu, dokładnie 18 września 1987 roku Jerzy Kukuczka stanął na szczycie ostatniego z wierzchołków, zdobywając tym samym Koronę Himalajów i Karakorum – to jest czternastu ośmiotysięczników, było to osiągnięcie na miarę najwyższego uznania. Dokonał tego jako młody, utalentowany sportowiec, jako drugi na świecie po Reinholdzie Messnerze, z którym prowadził sportową rywalizację. R. Messner, pochodzący z północnej części Włoch, Tyrolczyk zamieszkujący obszar niemieckojęzycznej Górnej Adygi, wysłał wówczas Polakowi entuzjastyczną depeszę gratulacyjną: „Nie jesteś drugi, jesteś wielki”.

W Dolomitach włoskich na narciarskich wypadach często spotykam Tyrolczyków, którzy pamiętają Kukuczka i z szacunkiem wspominają jego wyczyn. Himalaiści podkreślają jeszcze, że jako jedyny człowiek na świecie zdobył dwa ośmiotysięczniki w ciągu jednej zimy, oraz wytyczył jedenaście nowych dróg na zdobytych ośmiotysięcznikach.

Jak zaczęła się jego przygoda z himalaizmem? Ojciec po wojnie, jako robotnik kolejowy zawodniczo uprawiał narciarstwo i to on zabierał małego, 7-letniego chłopca na pierwsze górskie wyprawy. Jerzy poznawał z nim góry, podziwiał ich piękno. Ale to jeszcze nie było zapowiedzią jego wielkiego taternictwa. Prawdziwą pasję do wspinania zaszczerpił w nim dopiero kolega harcerz, który namówił go, wówczas 17-latkę na wyjazd w skałki do Podlesic. I tu się wszystko zaczęło.

- „Dokonałem fantastycznego odkrycia. Skalna wspinaczka wciągnęła mnie tak bardzo, że wszystko inne przestało się dla mnie liczyć” - zwierzył się kiedyś. - Wspominał, że swoją prawdziwą przygodę z górami rozpoczął w 1971 roku w Tatrach Słowackich, a w tajniki działalności

wysokogórskiej wprowadzali go wielcy polscy alpinisci, a zarazem instruktorzy - J. Kurczab i K. Liszka. Pierwszym jego większym wyczynem było zimowe przejście z Kurtykówki na Małym Młynarzu.

W roku 1976 i 1978 roku odwiedził Hindukusz, w którym dokonał kilku wartościowych przejść, m.in. nową drogą, samotnie zdobywając Kohe Awal (5800 m n.p.m.), a w zespole z T. Piotrowskim i M. Wroczyńskim wytyczył nową drogę na Tiricz Mir Wschodni (7692 m n.p.m.). Wkrótce zdobył wszystkie ośmiotysięczniki, tzw. Korony Himalajów i Karakorum.

Wyczyn jego jest wyjątkowy nie tylko dlatego, że osiągnął całą czternastkę w zaledwie osiem lat (1979-1987) i był drugim człowiekiem na świecie, któremu się to udało. Ale również dlatego, że stosował własną taktykę w himalaizmie. Istota jego metody tkwiła w szczególnej wyjątkowości i w stylu, w jakim uprawiał wspinaczkę. Na jedenaście ośmiotysięczników wszedł nowymi drogami, na jednym stanął samotnie, a cztery zdobył zimą - trzy jako pierwszy w historii. Był przeciwnikiem stylu obłężniczego i, jeśli się tylko dało, wspinął się w stylu alpejskim. Na siedem szczytów wszedł właśnie w stylu alpejskim, czyli małym zespołem, szybko i bez zakładania pośrednich obozów.

W 1988 roku Messner i Kukuczka zostali za swoje osiągnięcia nagrodzeni medalami podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Calgary. Messner swojego nie przyjął, tłumacząc iż nie traktuje himalaizmu jako rywalizacji sportowej. Kukuczka uważał, że „w alpinizmie, jak w szachach, jest miejsce na swego rodzaju twórczość, ale i sportową rywalizację. Gdyby jej zabrakło, być może nigdy by się nie wspinął”.

Przegrał „wyścig” o koronę globu z Włochem Reinholdem Messnerem, choć skolekcjonowanie wszystkich





czternastu ośmiotysięczników zajęło mu dwa razy więcej czasu, bo w sumie szesnaście lat i cztery miesiące. Dla uczczenia tego największego wyróżnienia Polaka, Poczta Polska wydała okolicznościowy znaczek z panoramą Himalajów, podobizną Kukuczki i olimpijskiego medalu.

Krzysztof Wielicki, klubowy kolega Kukuczki z KW Katowice, piąty w historii człowiek, który zdobył też czternaście ośmiotysięczników, tak go wspomina: - „Jurek był uparty jak muł. Jak coś wymyślił, to musiał to zrobić, czasami nawet kosztem ryzyka. Wszyscy popełniają błędy, problem w tym, że szczęście nie dopisuje zawsze... W skale charakteryzowała go koncentracja i determinacja. Miał też potrzebę pisania historii dyscypliny. Oczywiście wspinał się dla siebie, ale ze świadomością, że chce zapisać polski alpinizm na kartach historii Himalajów, rozsławić imię kraju”.

Wielicki zwrócił też uwagę na znaczenie drogi sportowej J. Kukuczki: „- Było to stopniowe nabywanie umiejętności, które kształtowało nie tylko sportowo, ale także tworzyło osobowości. Zbieraliśmy doświadczenia począwszy od skałek, po góry najwyższe. To budowało empatię, partnerstwo. Oglądaliśmy w klubie czy w zagranicznych magazynach zdjęcia dalekich szczytów - marzeń i, mimo że to był PRL... planowaliśmy nasze wyprawy. Trzeba było zarobić pieniądze konserwując i malując kominy. Potem załatwiał się namioty, śpiwory, jedzenie. Jurek był czuły na punkcie żywności zabieranej na wyprawę. Lubił po prostu dobrze zjeść. Zawsze jeździł po golonkę, specjalnie do zakładów w Dębicy. To było jego ulubione jedzenie w górach.”

K. Wielicki z Kukuczką był na kilku wyprawach. Pierwszy raz zetknął się zimą w 1981 roku podczas wyjazdu w Alpy Południowe w Nowej Zelandii. - „Wcześniej wspinałem się najczęściej z kolegami z Wrocławia. Jurka poznałem podczas wyjazdu do Nowej Zelandii, zorganizowanego przez klub z Katowic. Mieliśmy wypadek - Jurek spadał w przepaść, miał pod sobą sześćset metrów, ale zatrzymał się na wąskiej półce. Wtedy miał szczęście... Przyleciał helikopter, którym miał być ewakuowany do szpitala, ale - jak to Jurek - powiedział, że nie ma mowy, że nic mu nie jest i... wylądował w bazie” - wspomniął Wielicki.

Drogę po koronę Himalajów i Karakorum rozpoczął od zdobycia

Lhotse w 1979 roku, a dziesięć lat później odpadł z niezdobytej południowej ściany tego czwartego, co do wysokości szczytu globu. Do tragedii doszło na wysokości ok. 8200 metrów. Wspinał się wówczas z Ryszardem Pawłowskim. Była to trzecia próba Kukuczki na tej drodze. R. Pawłowski tak go zapamiętał: - „Był niesamowicie zdeterminowany i miał olbrzymią sportową ambicję. Poza tym był człowiekiem bezkonfliktowym, pogodnym. Jako lider wyprawy nie narzucał swojej woli i starał się wszystko załatwić po koleżeńsku. Nie zacierzował się w dyskusjach. Nie wiem, na ile na taką postawę miało wpływ to, że był człowiekiem wierzącym. Zawsze nosił krzyżyk, nie obnosił się z tym, ale jednocześnie nie chował ze swoją wiarą”.

Zginął 24 października 1989 roku, na południowej ścianie Lhotse (8516 m). Przed wyprawą ocenił, że „jest w zasięgu zdobycia”. Jego partner - Ryszard Pawłowski relacjonował zdarzenie: - „Wydawało się, że mamy dużą szansę na pokonanie ściany. Pogoda o dziwo zrobiła się, jak na październik, dobra. Nie wiało. Rano 24 wystartowaliśmy z wysokości 8000 m i wszystko szło planowo, do momentu, gdy Jurek osunął się na skalnej, załodzonej płycie. Byliśmy związani pojedynczą liną, a nie jak zazwyczaj podwójną, świadomi swoich sił i ryzyka. Jurek był nade mną około 50 metrów. Widziałem, jak nabiera prędkości... Był przygotowany na bardzo silne szarpnięcie. Rzuciło mnie na ścianę, ale w tej samej chwili poczułem luz i już wiedziałem, że lina musiała się przerwać. Zostałem w trudnym terenie, bez możliwości kontaktu z kolegami, bo to Jurek miał telefon. Po chwili odrętwienia, gdy dotarło do mnie, co się stało, pomyślałem, że muszę sam się ratować. To była walka o życie”

Jerzy Kukuczka odpadł od ściany i spadł w przepaść. Zostawił żonę Celinę z dwoma synami - Maciejem i Wojciechem. Dla Polaków, sportowców i himalaistów świata będzie zawsze przykładem niezłomności i heroiczności w dążeniu do osiągnięcia zamierzonych celów. Żył tylko dla wysokich gór, które pokonywał na wszystkich wyprawach. Miał wyjątkowe predyspozycje zdrowotne, duże doświadczenie i szczęście. Pokonywał najwyższe szczyty świata, ale w końcu to góra go pokonała.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

7TH / BEC
AWARDS
GALA '18

BEC COACH OF THE YEAR



KLAUDIA MAJOROWA

Klaudia Majorowa najlepszą trenerką Europy 2018

Trenerka, przyjaciółka, kobieta nadzwyczajna, dlatego warto poznać historię Klaudii, z którą miałam przyjemność pracować przez kilkanaście lat.

(Dokończenie z poprzedniego numeru.)

Rozmowy z dyrektorem Zygmuntem Kołodziejem też nie były łatwe. Musiałam wysondować, czy jest zainteresowany rozwojem badmintona na terenie Słupska, przede wszystkim jednak w jego szkole. W wielu sprawach zgadzaliśmy się, jednak sprawa trenerki Majorowej była dla niego trudnym tematem. Wiedziałam, że bardzo mu zależy na utworzeniu szkoły mistrzostwa sportowego na bazie jego szkoły, więc ten aspekt sprawy był moim atutem przetargowym. W końcu uzgodniliśmy: - Ja zrobię wszystko, aby utworzyć szkołę mistrzostwa sportowego, a on wyrazi zgodę na zatrudnienie Klaudii w charakterze trenera kadry narodowej juniorów.

Pierwszy raz Klaudia wyjechała z kadrą badmintona w maju 1996 roku na Mistrzostwa Świata do Lozanny. Miała obserwować i uczyć się, zdobywać doświadczenie, obserwować najlepszych zawodników i ich trenerów. Wtedy Ryszard Borek był głównym trenerem, ona uczyła się.

Zarząd Miasta wyraził zgodę, szkoła została utworzona! Od 1 czerwca 1996 roku Klaudia zaczęła pracować jako trener kadry juniorów! Wtedy siedemdziesiąt procent kadry narodowej juniorów było wychowankami Klaudii. Dyrektor Zygmunt Kołodziej stworzył w szkole dobre warunki. Cały system opracowano tak, aby kończąc VII klasę szkoły podstawowej zawodnicy prezentowali wysoki poziom wyszkolenia. W 1998 roku powstało Niepubliczne

Liceum Ogólnokształcące przy Zespole Szkół. Zachowaliśmy ciągłość szkolenia. Szkoła była zlokalizowana w Słupsku, jednak najlepsi juniorzy z całej Polski mogli tutaj trenować i uczyć się.

Wspomina Klaudia: - Szkoła Mistrzostwa Sportowego była super rozwiązaniem na tamte czasy, zresztą uważam, że zawsze jest i będzie dobrym rozwiązaniem. Bardzo dużo dawała zawodnikom, oprócz nauki w szkole były dodatkowe treningi, wyjazdy na zawody. Zawodnicy mieli sprzęt, lotki, halę, a także odżywki i opiekę medyczną, a zatrudnieni trenerzy otrzymywali przyzwoite wynagrodzenie. Dlatego niech nie dziwią nikogo sukcesy, jakie osiągnęliśmy w 1999 roku na Mistrzostwach Europy Juniorów w Glasgow. Przemek Wacha i Piotr Żołądek zdobyli srebrny medal w deblu chłopców, Kamila Augustyn brązowy medal w grze pojedynczej dziewcząt i Przemek Wacha również medal brązowy w grze pojedynczej chłopców.

Praca na stanowisku trenera kadry juniorów i trenera Szkoły Mistrzostwa Sportowego wymagała ode mnie zaangażowania, poświęcałam jej bardzo dużo czasu. Rozwiedliśmy się z mężem. Zaczęły się problemy z Olką, która spędzała większość czasu na hali. Zawodnicy grali coraz lepiej, często wyjeżdżaliśmy na turnieje za granicą, które zmuszały do pozostawienia Oli pod opieką Jasi - mamy Marcina Rynkiewicza, poza tym pomagała mi Basia Gontarska. Córka rosła pod opieką fajnych ludzi w fajnych rodzinach, ale nie w swojej. Tygodniami mieszkała u Jasi lub Basi.

Podczas któregoś mojego pobytu w Słupsku odbywałam spotkanie z prezydentem Mazurkiem. Pan Prezydent przyjechał do naszej szkoły, mieliśmy miłe spotkanie. Skorzystałam z okazji i zaprosiłam do mieszkania Klaudii - tego w szkole. Byliśmy sami, zapytałam: - Widzi pan te pokoje? Czy uważa Pan, panie prezydencie, że mieszkanie tutaj zabezpiecza warunki życia jednej z najlepszych trenerek w Polsce, która jako pierwsza zdobyła medale dla Słupska z Kamilą Augustyn i Piotrem Żołądkiem? (Przemek Wacha reprezentował barwy klubu LKS Technik Głubczyce).

- No nie, pani prezes, proszę przysłać pismo Polskiego Związku Badmintona, sprawę przedstawię Zarządowi Miasta, mam pewien pomysł.

- I tak dzięki tobie, Jadwiga, i dzięki dyrektorowi Zygmunutowi Kołodziejowi dostałam mieszkanie z puli Prezydenta za szczególne zasługi dla Słupska

kontynuuje Klaudia swoje wspomnienia. - Lata 1996 - 2001 to były najpiękniejsze moje lata pracy. Pracowaliśmy z zawodnikami bardzo ciężko i dużo. Rośli bardzo szybko, nie byli jeszcze samodzielni, ale poszukiwali swoich dróg, myśleli po swojemu. Dzisiaj mogę powiedzieć: byłam dla nich surowa, gdy łamałam ustalone zasady, gdy spóźniali się na zajęcia lub pili alkohol, wyrzucałam z kadry. Po dwóch latach takiej pracy miałam opinię, że trenerka jest zła, i lepiej z nią nie zaczynać. Byłam przecież za nich odpowiedzialna. Oni tego nie rozumieli. Następni juniorzy, jak dołączali do nas, rozumieli dyscyplinę i nie mieliśmy problemów.

Zupełnie nie miałam czasu dla siebie i dla Oli. Pracowałam ciężko i były wyniki, praca nasza nie szła na marne. Zresztą wyniki jakie osiągnęliśmy w Glasgow w 1999 roku utwierdziły nas w przekonaniu, że idziemy dobrą drogą. Kamila Augustyn miała dopiero siedemnaście lat. Mogła jeszcze startować w kolejnych mistrzostwach Europy, o które walczyła (mowa o mnie, przyp. J. Ś.-Sz.), aby odbyły się w Spale w 2001. Wtedy też pomyślałam o drugiej grze dla Kamili. Zobaczyłam wtedy dziewczynę - Nadię Kostiuzyk, która błakała się mieszkając i startując w Brześciu (Białoruś). Odbyłam rozmowę z jej trenerem, opowiedziałam, co możemy zrobić, jakie będzie miała korzyści i spróbować zestawień z dziewczętami Kamila Augustyn/Nadia Kostiuzyk.

Kamila była najlepszą juniorką, wyróżniała się zdobytymi umiejętnościami, prezentowała wysoki poziom sportowy. Potrzebowała utalentowanej partnerki, taką była Nadia. To był trafny wybór. Dziewczyny zdobyły pierwszy złoty medal w Mistrzostwach Europy Juniorów w Spale w 2001 roku. Dodatkowo na tych mistrzostwach Kamila zdobyła srebrny medal w grze pojedynczej dziewcząt. Nasz sponsor Nokia był bardzo zadowolony. Uzyskaliśmy kontrakt na następne lata, aż do 2004 roku.

Niestety osiągnięte wyniki nie przełożyły się na zwiększenie budżetu związkowego. Nigdy nie byliśmy krezusami w zakresie finansowania przez państwo, nie byliśmy też pieśczołami urzędu. Po denominacji złotych w 1995 roku otrzymaliśmy z urzędu 687.098 zł, co razem z dochodami własnymi dało 819.909 zł. Było bardzo biednie. Dla porównania podaję stan dochodów w roku 2001: z Departamentu Sportu Wyczynowego otrzymaliśmy 976.000 zł na programy Ate-ny 2004, przygotowania do mistrzostw

świata, Europy oraz imprezy równorzędne, na koszty pośrednie (w tym zawierały się wynagrodzenia), zakup leków, odżywek i sprzętu sportowego. Z Departamentu Sportu Dzieci i Młodzieży otrzymaliśmy 734.500 zł, w tym na uczniowskie kluby sportowe, sportowe wakacje, cykl imprez, na kursy-konferencje nauczycielskie 412.500 zł oraz na udział w mistrzostwach świata i Europy 62.000 zł i na Szkoły Mistrzostwa Sportowego tylko 260.000 zł (Ślupsk 120.000, Olsztyn 80.000 i Głubczyce 60.000). Niestety nie były to kwoty wystarczające. Klaudia o tym wiedziała. Denominacja z roku 1995 odbijała się na standardzie życia oraz na dotacjach państwowych. Do tego dochodziły niskie pensje dla nauczycieli i uposażenia trenerskie.

Klaudia wspomina: - Pamiętam, że wszyscy walczyliśmy o przetrwanie. Nikt z nas nie miał lepiej. Cały czas walczyłaś (to o mnie przyp. aut.) o to, aby były pieniądze na wyjazdy zagraniczne zawodników. Organizowaliśmy je najtaniej jak było można. Wynajmowaliśmy minibusy, jeździliśmy własnymi samochodami po najniższych kosztach, czyli za koszt benzyny, aby było tanio! Diety nie wystarczały na jedzenie. Gdy jechaliśmy minibusem było lepiej, bo zabieraliśmy jedzenie. Wyjazdy samolotami nie były tak komfortowe, bo limitował nas bagaż, ale i tak jeździliśmy z własnym jedzeniem. Dopiero teraz, pracując jako główny trener Rosji, widzę jak biednie żyliśmy!

Nadszedł rok 2005

Przestałam pracować w Związku. Kolejny Krajowy Zjazd Delegatów odbył się 8 stycznia, nie wystartowałam do walki o kolejną kadencję prezesa. W lutym kończyłam 60 lat, uznano, że mój czas w badmintonie minął. Niezadowolone zawodników i ostra nagonka doprowadziły do podjęcia takiej decyzji.

Ale wracamy do wspomnień Klaudii: - Na początku, po wyborze nowego prezesa związku Michała Mirowskiego nic się nie zmieniło, było ciężko, ujawniły się trudności w kontaktach z zawodnikami: Kamila Augustyn, Michałem Łogosem, Robertem Mateusiakiem. W biurze związku zatrudniono nowych pracowników. Częste nieporozumienia z kolejnym zatrudnionym sekretarzem Bogdanem Włostowskim, (chciał zrobić dużo, ale brakowało mu doświadczenia), jawiły się jako koszmarny sen, który przeżywałam. Oczywiście te nieporozumienia wpływały na stosunki z

zawodnikami. Nie radziłam sobie z istniejącą sytuacją, nie byłam do tego przyzwyczajona. Następstwem konfliktów była narastająca agresja.

W 2007 roku przyjechał do Polski trener z Korei Kim Young Moon. Pracowało nam się dobrze. Kim był nastawiony na wynik tak samo jak ja, chciał pracować jak najlepiej. Strofował zawodników starszych, miał większy wpływ na nich i na ich zaangażowanie w pracę. Ułatwiał mi to życie. Z Kimem miałam bardzo dobre stosunki. Bardzo dużo się nauczyłam, szczególnie w pracy z singlistami. Widziałam jego pracę z Przemkiem Wachą, który reprezentował wysoki poziom, a świeży powiew myśli trenerskiej dawał bardzo dobre rezultaty. Niestety, w jednym zupełnie się nie zgadzaliśmy. W sprawach taktyki gry.

Kim uważał, że należy grać spokojnie, rozgrywać mecz, a ja, jako trener znający Przemka od lat, uważałam, że powinien grać krótkie ostre akcje, gdyż jego budowa jest mocna, ciężka i nie jest w stanie wytrzymać spokojnej gry przez trzy sety. Szczególnie trudno było na zawodach. Ja mówiłam co innego, Kim mówił co innego, a Przemek denerwował się i w końcu nie wiedział jak ma grać.

Niestety, te różnice w poglądach na taktykę gry odbiły się ujemnie na Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie w 2008 roku. Nasz mikst Robert Mateusiak/Nadia Kostiuzyk Zięba grał przeciwko zawodnikom Chińskiej Republiki Ludowej He Hanbin/YuYang. Był to decydujący mecz o wejście do czwórki. Kim Young Moon był wyrocznią i guru dla Mateusiaka. Moim zdaniem taktycznie przegraliśmy ten mecz, ponieważ Kim uważał, że koniecznie trzeba grać na dziewczynę, ja zaś uważałam, że tym razem trzeba grać na chłopaka! Była to zdecydowana różnica między nami trenerami. Końcówka powinna być grana na He Hanbin, a nie na YuYang! Dlaczego? Jako trenerka prowadziłam nasz mikst cztery miesiące wcześniej przed igrzyskami olimpijskimi, i zgodnie z moją taktyką wtedy, czyli grą na mężczyznę (zdecydowanie słabszego) wygraliśmy ten pojedynek. Obserwowałam mikst chiński. Wiedziałam, że chłopak jest słaby psychicznie, słabszy od partnerki, dlatego całą grę skupiliśmy na nim. Wtedy wygraliśmy, zaś w decydującym pojedynku na Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie 2008 zmiana taktyki zadecydowała o przegranej medalu. Dzisiaj można na ten temat tylko gdybać.

W Pekinie zdobyliśmy trzy ósemki. Kim Young Moon zdecydował o zakończeniu pracy i wyjeździe z Polski. Rozstaliśmy się w miłej atmosferze. Jakiś czas później dowiedziałam się, że Kim wraca. Panowie (prezes i trener) dogadali się podczas igrzysk, ale mnie o tym nie poinformowali. Kim powiedział, że jeśli będzie zatrudniony w Polsce to tylko jako trener główny!

Prezes Mirowski zaproponował mi stanowisko asystenta, co nie odpowiadało moim ambicjom. Kim przyjechał do Polski w kwietniu 2008 roku, w sierpniu były Igrzyska Olimpijskie w Pekinie. Nie uważałam, że wyniki uzyskane w Pekinie są jego zasługą, dlatego odmówiłam. Sytuacja w seniorach była ciężka, Michał Łogosz i Robert Mateusiak robili wszystko, abym na stanowisku trenera czuła się źle, wpływało to na innych zawodników. Ci, z którymi pracowałam, gdy byli juniorami, znali mnie i wiedzieli jaka jestem, miałam z nimi dobre kontakty, ale to się nie liczyło. Zakończyłam pracę z juniorami. Istniały trzy szkoły mistrzostwa sportowego, było po kolejnej największej reformie w szkolnictwie. Szkoły nie były już na takim poziomie, gdy zaczynałyśmy razem pracę, juniorzy byli coraz słabsi. Szwankował nabór, pracujący trenerzy nie prezentowali najwyższego poziomu. Zaproponowałam, abym została trenerem kadry juniorów. W ramach swoich obowiązków będę jeździła po Polsce doszkalając trenerów, znałam wszystkich juniorów i miałam odpowiednie doświadczenie w pracy z tą kategorią wiekową. Chciałam, aby wykorzystali moje doświadczenie nabyte przez osiemnaście lat pracy w Polsce. Nawet nie chciałam pieniędzy na moje wyjazdy na delegacje do szkół czy klubów, chciałam, aby za to płaciły szkoły lub kluby, które chcą ze mną współpracować. Postawiłam jeden warunek, to samo wynagrodzenie co dotychczas. Niestety, tego nie mogłam otrzymać!

Wróciłam do Słupska, ale tam nie było do czego wracać. Tam badminton upadał. Nie było pieniędzy na nic. Chciałam pracować w klubie, ale nie było pieniędzy na wynagrodzenie dla mnie. Wzięłam kilka godzin w szkole na wsi i w pół roku pracy nauczyłam dzieciaki tego, co normalnie na początku mojej pracy zajmowało mi trzy lata. Miałam bogate doświadczenie, stworzyłam metodykę nauczania.



Fot. Archiwum Autora

Wtedy w latach 2008 - 2009 jeździłam i uczyłam według swojej metody. Dzieciaki szybko się uczyły.

Klaudia kontynuuje swoją opowieść: - W tamtych latach nie było spokoju w związku, cały czas coś się zmieniało, coś się działo. Wybrano nowego prezesa, więc moja kariera zaczęła zbliżać się do punktu zero i praca w naturalny sposób zakończyła się. Wtedy dostałam propozycję z rosyjskiego klubu w Ramenskoje (40 km od Moskwy). Miałam poprowadzić dwa zgrupowania, mieliśmy grać w superlidze. Fajna praca, dobre wynagrodzenie oraz zupełnie inny stosunek do trenera.

W Rosji nie ma różnicy pomiędzy trenerem mężczyzn i trenerem kobietą! Ile razy w Polsce słyszałam od Michała i Roberta, że trener kobieta to jest nic! Żadna kobieta nie będzie nami kierowała! W Rosji tego nie ma. Zawodnicy rosyjscy dotychczas byli prowadzeni w sposób „drastyczny”.

Surowo, to była raczej musztra aniżeli trening. Ja poprowadziłam zajęcia inaczej. Spokojniej. Czułam, że zawodnicy polubili ten styl pracy, mieli większy komfort, mniej stresu, lubili mnie, a ja zdobywałam ich zaufanie. Przekonywałam, że razem możemy zrobić fajne rzeczy. Pod koniec 2009 roku zaproponowano mi stanowisko głównego trenera Rosji. Moje wynagrodzenie miało wynosić 8000 Rb to znaczy 80 \$! Wyraziłam zgodę pod warunkiem, że będę jednocześnie pracować w Ramenskoje, bo dostawałam tam lepsze wynagrodzenie, musiałam zarobić na utrzymanie swoje i Olki, która studiowała, musiałam pomagać mamie w Niżnym Nowogrodzie, no i miałam w Słupsku męża - Piotra Kubę Nowotnego. Jeździłam do domu.

Odpowiadała mi ta praca, bo w Polsce przecież też nie było łatwo, nie wspominając już Norylska. Nigdy mnie nie rozpieszczano, o wszystko



walczyłam, więc i tym razem byłam dobrej myśli. Odpowiadała mi ta praca, ponieważ kierownictwo związku badmintonu w Rosji razem z zawodnikami nastawione było na sukces.

W 2010 roku opracowałam program rozwoju badmintonu w Rosji. Na razie rezultatami był dobry wynik Wysłowa/Sorokina. W deblu kobiet zdobyły złoto na Mistrzostwach Europy. Zdobyliśmy kwalifikacje do Londynu w 2012 i brązowe medale olimpijskie, ale te były przypadkowe, po dyskwalifikacji pary zawodniczek. My zaś zaczęliśmy odnosić sukcesy w Mistrzostwach Europy, zdobywaliśmy medale srebrne i brązowe, byliśmy zawsze w czołówce gier pojedynczych i podwójnych, a w tym roku 2016 nasz debel, który zestawili Iwanow/ Sozonow - zdobył najwartościowszy tytuł w badmintonie - ALL England. Tylko reprezentanci Rosji stanęli na najwyższym podium. Pozostałe medale pojechały do Chin!

W 2011 roku Ministerstwo Sportu Rosji zmieniło system finansowania. Obecnie wynagrodzenia za pracę są dobre, sensowne, a kadra otrzymała dobre stypendia (1000-1500 Euro), co stworzyło profesjonalną bazę i życie zaczęło być łatwiejsze.

Nie zrealizowaliśmy planu stworzenia centrum badmintonu w Ramenskoje ze względu na sytuację polityczno-ekonomiczną oraz ograniczenia finansowe. Gdy masz o badmintonie tyle wiedzy co ja, potrzeba zainwestować pieniądze, wiele pieniędzy, a brak centrum szkoleniowego generuje trudności. Pomimo to stworzyłam zespół trenerski składający się z młodych trenerów. Jesteśmy w stałym kontakcie z naszym ministerstwem. Marzę o powołaniu dwóch ośrodków szkoleniowych: jednego dla seniorów i drugiego dla juniorów oraz o tym, abyśmy zdobyli prawdziwe medale olimpijskie, a nie przypadkowe.

Gdy zaczęłam pracować w Ramenskoje kupiłam mieszkanie i przeprowadziłam mamę z Niżnego Nowogrodu, mieszkamy razem. Oczywiście przyjeżdżam do Polski, bo tu mieszka moja córka i mąż. Na starość chciałabym zamieszkać w Polsce i dalej pracować z dziećmi.

* * *

W wywiadzie, jakiego mi udzieliła Klaudia, powiedziała: - Gdybym jeszcze raz wybierała swoją drogę życia, wybrałabym tak samo, takie samo życie, pracę z młodymi ludźmi, sukcesy, poznawanie świata i ludzi. Pobyt w Polsce zapamiętam na zawsze, wyrosłam dzięki tobie, Jadwiga, bo pamiętam wszystko: jak kierowałam mną i moją trenerską karierą. Zaufałaś mi, stworzyłaś warunki do bycia trenerem, a ja starałam się rewanżować jak najlepszymi wynikami. Bardzo ci za wszystko dziękuję! Wierząc we mnie, wykształciłaś mnie na świetnego trenera, a ja teraz jestem głównym trenerem badmintonu Rosji. Moja droga z Norylska była długa, ale bardzo ważna.

Odpowiedziałam: - Klaudio, to ja dziękuję za wiarę we mnie, za zaufanie, za to że wierzyłaś, gdy mówiłam: - to możemy zrealizować, a tego nie. Nie miałaś wątpliwości, tak było trzeba! Lubiłam pracę z tobą, wiedziałam, że twój charakter był ukształtowany przez północ, Norylsk, nadzwyczaj trudne warunki życiowe, wiedziałam, że nie mylę się, że jesteś zdeterminowana na sukces, bo w pamięci masz

swoje trudne lata młodości, których nigdy i nikt nie mógł ci zazdrościć. Inni by tego nie przetrwali. I o tym zawsze pamiętałam, byłaś twardą osobą, i ja byłam twardą, choć czasami razem po cichutku płakałyśmy, ale naszych łez, nikt a nikt nie widział. Tylko my dwie.

Na zakończenie zapytałam: - Dlaczego zwróciłaś się w kierunku Buddyizmu?

- W Rosji byłam ateistką, bo religia była tam zabroniona. W Polsce znalazłam książki ZEN, poznałam koleżanki, kolegów, uczestniczyli w kursach i tak się to zaczęło. Zrozumiałam ten światopogląd, który pomógł mi odpowiedzieć na moje pytania, przyczyny i skutki, jeżeli istnieje choroba, to jest też i śmierć, poza tym odzyskałam emocjonalną równowagę. Zrozumiałam, że trzeba cieszyć się życiem, bo jest to fundament naszej działalności, trzeba dawać i budować, aby następne życie było lepsze!

Jadwiga Ślawska-Szalewicz
Warszawa

Autorka jest działaczką sportową. Pracę w organizacjach sportowych rozpoczęła w Polskim Związku Judo w roku 1965, następnie pracowała w Departamencie Sportu Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. W latach 1965 - 1977 kierowała sekcją judo AZS Siobukai w Warszawie. W 1972 ukończyła Akademię Wychowania Fizycznego w Warszawie z tytułem magistra, uzyskała specjalizację trenera II klasy w judo 3 Dan. W 1973 została mianowana sekretarzem generalnym Polskiego Związku Szermierczego, w latach 1977 - 1991 pełniła funkcję, a od 1991 roku prezesa Polskiego Związku Badmintonu. Była pierwszą kobietą na tym stanowisku. W latach 1992 - 1997 i 2001 - 2006, będąc członkiem Zarządu Polskiego Komitetu Olimpijskiego, była również wiceprezesem Polskiej Fundacji Olimpijskiej, a w latach 1995 - 2002 pełniła funkcję sekretarza Unii Polskich Związków Sportowych. Od 1986 roku jest członkiem Komisji Rozwoju Europejskiej Unii Badmintonu (European Badminton Union - EBU), od 1997 do 2007 roku piastowała kolejno stanowiska: dyrektora marketingu, dyrektora rozwoju EBU Council, wreszcie od 2005 roku wiceprezesa Europejskiej Unii Badmintonu. W latach 2005 - 2008 zajmowała również stanowisko sekretarza generalnego Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Autorka kilkunastu publikacji szkoleniowych z zakresu badmintonu, a także książki „Moje podróże z lotką”, opublikowanej przez Wydawnictwo Edipresse Polska S.A. w 2017 roku.



Fot. J. Mazurek

Marginalizacja Pomorza

15 stycznia br. Minister Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej podpisał rozporządzenia o zniesienia Urzędu Morskiego w Słupsku oraz zmieniające rozporządzenie w sprawie utworzenia urzędów morskich, określenia ich siedzib oraz terytorialnego zakresu działania dyrektorów urzędów morskich. Oznacza to, że wkrótce nastąpi przejęcie zadań słupskiego urzędu morskiego przez Urzędy Morskie w Szczecinie oraz w Gdyni.

„Z przeprowadzonej w toku prac legislacyjnych Oceny Skutków Regulacji jednoznacznie wynika, iż wejście w życie projektu nie wywoła negatywnych skutków dla społeczeństwa, gospodarki, ani dla sektora finansów publicznych” - napisała dyrektor Katarzyna Krzywda z upoważnienia ministra w piśmie do starosty słupskiego Pawła Lisowskiego. Starosta interweniował w Ministerstwie Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej w sprawie zamiaru zniesienia Urzędu Morskiego w Słupsku. W przywołanej już odpowiedzi, podpisanej przez dyrektora K. Krzywdę i datowanej na 27 stycznia br. czytamy ponadto: „W ocenie Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej konieczne jest ujednolicenie zakresu właściwości organów terenowej administracji morskiej z zasadniczym podziałem terytorialnym państwa, tj. granicami województw. Dotychczasowy podział struktury terenowej

administracji morskiej nie odpowiadający podziałowi administracyjnemu państwa, wespół z dużym rozdrobnieniem ośrodków decyzyjnych i merytorycznych utrudnia sprawne i terminowe realizowanie licznych inwestycji morskich, rozproszonych na terenie województwa pomorskiego i zachodniopomorskiego. W ramach prowadzonych prac nad projektami rozporządzeń (...) poddano pod rozwagę wszystkie dostępne analizy i informacje - w tym również wyniki kontroli prowadzonych przez Najwyższą Izbę Kontroli, oraz wnioski z realizowanych przez Ministerstwo działań nadzorczych względem urzędów morskich. Stwierdzono, że przejęcie zadań Urzędu Morskiego w Słupsku przez Urzędy Morskie w Szczecinie oraz w Gdyni przyczyni się do poprawy ich realizacji.”

W piśmie jest zapewnienie, że nikt nie zostanie zwolniony. Pracownicy Urzędu Morskiego w Słupsku staną się automatycznie pracownikami Urzędu

Morskiego w Gdyni lub w Szczecinie. Będą wykonywali swoje obowiązki w dotychczasowych miejscach pracy - w kapitanatach portów, bosmanatach, obwodach ochrony wybrzeża, w planowanych do utworzenia delegaturach lub innych komórkach terenowych.

17 lutego odbyła się z inicjatywy Prezydenta Słupska i Słupskiej Izby Przemysłowo-Handlowej konferencja poświęcona reorganizacji w administracji morskiej w Polsce oraz skutkom, jakie niosą wprowadzane zmiany. Padło na niej wiele gorzkich słów pod adresem rządu i resortu, decyzji o zniesieniu Urzędu Morskiego w Słupsku przypisano podłoże polityczne - osłabienie miasta, w którym PiS nie sprawuje władzy. Uczestnicy skierowali list otwarty do prezydenta RP, prezesa Rady Ministrów oraz prezesa PiS. Pisz w nim, że władze centralne swoją decyzją przyczyniają się do dalszej marginalizacji Pomorza Środkowego. Apelują o wycofanie się z błędnej decyzji. (z)



XVI BAL CHARYTATYWNY NA RZECZ MIESZKAŃCÓW DPS W MACHOWINKU

STRZELINKO, LUTY 2020



WYKRA... Z DUDA?
KTORZY KOCHAJĄ ZENKA MARTYNIUKA
MOWIC... TĘSTAMI Z „PSÓW”
PERFEKCYJNEJ MATKI

Newsweek

30/020
13.01.20
cena 7,90 zł

POLSKA

www.newsweek.pl

Powiat



Nr 11-12 (226-227), Listopad-Grudzień 2019

Rok XIX * ISSN 1730-7686

facebook.com/morskipowiatslupski

ŚLUPSKI

Twój STYL

Olga Tokarczuk
NOBEL DLA
NIEPOKORNEJ

NUMER 12 (255)
GRUDZIEŃ 2019

CENA
7,99 zł

W TYM ŚLUPSK
WWW.STYL.PL

Co zrobi Tusk? | Cyngle Ziobry | Podwyżki 2020
Wypierpol | Polski kolonializm | Grubiejemy

Urodzaj podwójnych nazwisk
Zagoniona klasa średnia

POLITYKA

LIDER
SPRZĄDZĄCY

TYGODNIK, nr 2 (3243), 8.01-14.01.2020

Cena 7,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

SIECI

DWÓCH PAPIEŻY
GRZEGORZ GÓRNY UJAWNIA,
JAK BYŁO NAPRAWDĘ

PUTIN
NA CAŁEGO SPISKUJE
PRZECIWKO POLSCE

DZIWNE
GRY
KONFEDERATÓW

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

nr 3 (3272) 2020
14-18.01.2020
CENA: 6,90 zł